

JÓZEF KUŚMIEREK

STAN POLSKI

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1982

STAN POLSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 365

ISBN 2-7168-0018-9

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

JÓZEF KUŚMIEREK

STAN POLSKI

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1982

OD AUTORA

Będąc już po drugiej stronie górkę, którą każdy z nas pokonuje w ciągu życia, mam do siebie zapiekły i spóźniony żal. Dlaczego te wszystkie migawkowe reporterskie spostrzeżenia, dające już jednak poważny materiał do uogólnień w reportażach, a przecucia i przewidywania zachowywałem dla siebie?

To nie było tak — „zachowywałem dla siebie”. Swoimi obawami dzieliłem się na gorąco z ludźmi, w redakcjach, na różnych zebraniach, gdzie nieproszony zabierałem głos. Wśród moich rozmówców jest wielu obecnych członków Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”.

Wiele z moich dziennikarskich obserwacji i dających się z nich wysnuć przewidywań było przerażających. Po koleżeńsku radzono mi także, bym się nie narażał i był ostrożny. Ostrożny nigdy nie byłem.

Jestem człowiekiem niewykształconym, nieukiem: formalnie nie mam matury. W swojej dyletanckiej naiwności sądziłem, że ludzie wykształceni mają precyzyjniejszy aparat stawiania prognoz i sporządzania recept. Swoje własne przewidywania, które budziły mnie w nocy, które nie pozwalały zaznać chwili spokoju, składałem na karb przewrażliwienia i innych negatywnych cech charakteru. Ostatecznie nazywano mnie „szalonym reporterem”.

Sądziłem, że „góra” powinna o tym wiedzieć, skoro ja wiedziałem. Z moich obserwacji wynikało, że władza, kolejne ekipy pędzą ku samozagładzie. Nie mieściło mi się w głowie, by całe grupy ludzi tak beztrąsko, bez próby obrony, etap po etapie unicestwiała się, choć mogły i miały po temu warunki, by zmienić kurs i wybrać właściwą drogę. Każdy ze „wstrząsów” dawał

się przewidzieć i był do uniknięcia. Nie żałuję ekip, które przy tym przepadły, znamy koszty i zagrożenia każdego „wstrząsu”.

Ekipy wymieniały się — system pozostawał niereformowalny. Dowodem tego jest, że każda ekipa popełniała te same błędy na kolejnej drodze ku samozagładzie.

Dziś do kosztów tych wszystkich „wstrząsów” należy zaliczyć samoogłupienie społeczeństwa. Z każdym „wstrząsem” łączyliśmy nadzieje, że to już ostatni... Nikt nie lubi utraty złudzeń. Samokrytycyzm wymaga wielkiej odwagi. Zastępowano go więc wiarą, że władzę da się zreformować. Taką wiarą są przepętnieni członkowie „DiP”.

Nie potępiam członków „DiP”, bo przecież wiara w rozum ludzki nie może być naganna, ale wierzyć można tylko do pewnych granic. Później taka wiara jest udzielaniem poparcia zbrodniczej głupocie.

W S T Ę P

Rozdziały niniejszego raportu układam w takiej kolejności, w jakiej hierarchii widzę ważność spraw, które należy rozpatrzyć, zanim się przystąpi do ocen i prognoz naszej sytuacji.

13 grudnia nic ważnego się w Polsce nie wydarzyło — nic, czego nie dałoby się przewidzieć.

System sprawowania władzy jasno udowodnił czołgami, że mandat i poparcie narodu są mu niepotrzebne.

W ocenie zjawisk popełniamy jeden zasadniczy błąd — wydarzenia ostatnie zawsze traktujemy jako najważniejsze i stąd histeria w ich ocenie. Zapominamy w tej histerii co się działo przedtem, a tymczasem „ostatnie” wydarzenie było konsekwentnym kontynuowaniem działań poprzednich.

System zarządzania Polską był i pozostaje systemem supertalitarnym. Właściciele Polski Ludowej dysponują absolutnie wszystkim. Decydowali o redagowaniu podręczników historii, kolejności wydawania tomów prac Tatarkiewicza i zajmowali się rozdzielnictwem wody sodowej. Nominowali profesorów i kierowników sklepów WSS. Decydowali, co mamy czytać, co mamy jeść, a na zebraniach dawali nam do ręki kartki z pytaniami, które mieliśmy do nich kierować. Pytania nieuzgodnione traktowano jako antypaństwowe.

Takiej władzy żaden naród nie może popierać. Musi ją znosić. Jeżeli naród chce coś w tym systemie zmienić, lub jeżeli zadaje niewygodne pytania — potrzebne są czołgi. Należą one do systemu sprawowania władzy. To Cyrankiewicz do pojęć państwowo-prawnych wprowadził paragraf „ucinięcia rąk”, a Gierk „gruchotania kości”. Jaruzelski to kontynuacja.

Nie popadajmy w histerię w ocenie wydarzeń sierpniowych.

Naród chciał prowadzić z taką władzą dialog, a wcale nie chciał jej zmieniać. Uważał, że w tym dialogu coś dla siebie wytarguje, że uczyni go systemem o ludzkiej twarzy. Socjalizm o ludzkiej twarzy to hasło z 1970 roku. Władza udawała dialog i zawierała porozumienia, których absolutnie nie miała zamiaru dotrzymać, i to od samego początku.

13 grudnia władza tylko zmieniła metody.

Czym się odróżniał Hitler od Gierka, Babiucha, Rakowskiego, Obodowskiego czy Wilmana?

Hitler nie kłamał! Hitler stwierdzał, że nienawidzi demokracji, liberalizmu, kultury, humanizmu, że są mu one wrogie. Hitler przyznawał, że w walce o władzę będzie się posługiwał siłą, przemocą, terrorem. Hitler nie stwierdzał, że używając siły wybiera „najmniejsze zło” i że korzystać z niej będzie w okresie przejściowym.

Metody Hitlera są jednak zbyt skompromitowane, by można było używać ich jawnie, a rozwój społeczeństwa — nawet polskiego — jest już na tym etapie, że nie są one skuteczne. Trzeba więc użycie siły maskować chęcią porozumienia.

Hitleryzm, tak jak i wszędzie faszyzm, posługiwał się generałami i armią, która wcześniej czy później w każdym kraju podporządkowywała się aparatowi terroru, formacjom typu SS czy Gestapo. Między innymi taka metamorfoza armii ma miejsce obecnie w Polsce: czołgi torują drogę oddziałom terrorystycznym.

Wszystkie ustroje totalitarne muszą się w końcu stoczyć na pozycje faszystowskie, gdzie istnienie organizacji przedstawicielskich i panowanie prawa jest już niemożliwe. Przed takim rozwojem wypadków ostrzegałem w liście do redaktora naczelnego *Trybuny Ludu* Beka. Jedynym ratunkiem przed faszyzmem było przejęcie władzy przez Rady Robotnicze. Zostało to storpedowane przez różnych kompromisowiczów w komisjach sejmowych, gdzie dzieła ich unicestwienia dokonali doc. Jakubowicz i prof. Baka. Władza posłużyła się naiwnością różnych grup nieformalnych, by storpedować sprawę wyboru dyrektorów, jak w przypadku „Lotu”, rozwiązaniami kompromisowymi aż do czasu, kiedy będzie mogła i dyrektorów, i część autorów kompromisu internować. Po co zresztą władzy dyrektorzy z wyboru, skoro może ich mieć bez liku z własnego wyrobu i na każde zawołanie.

Co jest wspólne ustrojom totalitarnym?

Wszystkie swoje zbrodnie wobec własnego narodu ukrywają za „suwerennym” prawem mordowania i prześladowania swoich obywateli. Nikt inny jak Hitler obozy koncentracyjne, mordowanie Żydów, rozwiązanie związków zawodowych uzasadniał

suwerennym prawem. Na marginesie dodam, że nawet Hitlerowi potrzebny był Reichstag do uchwalenia nadzwyczajnych pełnomocnictw. Hitler nie wyciągał nocą spod pierzyny Hindenburga, żeby mu parafował *in blanco* zawieszenie konstytucji, jak to uczynił Jaruzelski z naszym prof. Jabłońskim w Belwederze.

Co jest wspólne ustrojom totalitarnym? Nie znoszą one jasności. Każdego ataku zbiorowego, każdego aktu indywidualnego terroru dokonują przez zaskoczenie. Władza totalitarna musi zawsze udowadniać, że wszystko jest możliwe, że do wszystkiego jest zdolna i we wszystkim bezkarna.

Co jeszcze jest im wspólne? Władcy totalitarni i ich najbliższa kamaryla nigdy nie są w stanie „realistycznie” ocenić momentu własnego upadku. Wszyscy przegapiają właściwy moment mediacji, w którym mogliby ocalić własne głowy, a zniewolonym narodom oszczędzić przelewu krwi. Tylko Hitler w swoim bunkrze wiedział, że nie ma szans na mediacje.

Nie błędy ostatnich dni totalitarnej władzy należy analizować, a naiwność tych, którzy chcą z nią prowadzić dialog.

Socjalistycznej nocy św. Bartłomieja — nie ostatniego etapu eskalacji faszystowskiego terroru — nie zapoczątkował generalissimus Jaruzelski. Drogę do władzy opartą na oddziałach szturmowych uTORował „centralizm demokratyczny”. 13 grudnia dowodzi, że właściciele Polski nie mają już pomysłów na wymyślenie fikcji „poparcia narodu”. Żądnych sensacji, co się stanie i jak skończą właściciele Polski Ludowej — odsyłam do książki pt. „Ostatnie dni Hitlera”.



Walka o przedstawicielstwo jest obowiązkiem każdego społeczeństwa, które chce tworzyć własne państwo. Naród pozbawiony autentycznej reprezentacji nie może być suwerenny. Walka o reprezentację bywała zaczątkiem narodzin narodu. Mieszkańcy kolonii na wschodnich wybrzeżach kontynentu amerykańskiego walczyli początkowo tylko o prawo wysłania „swoich” posłów do londyńskiej Izby Gmin. I tego prawa odmawiał im gubernator Jego Królewskiej Mości. Wynikiem tej walki jest naród amerykański.

Jesteśmy narodem nie posiadającym własnej reprezentacji politycznej. Jesteśmy narodem bez własnego narodowego państwa.

Głębokie współczucie budzą uczciwe i rozpaczliwe wysiłki posła Osmańczyka, który chce uczynić z Sejmu platformę poro-

zumienia. Kto pamięta platformę wyborczą, kto pamięta, że była ona jednomyślnie przegłosowana na VIII Zjeździe Partii, ten nie może mieć złudzeń, czym jest nasz Sejm. Daleki jestem od chęci obrażania kilku uczciwych osób, które działając w dobrej wierze zasiadły obok takich „przedstawicieli narodu” jak Szczepański, Babiuch, Jaroszewicz, Kaim, Gierek, Szydłak. Generallissimus jest władny przemundurować to zgromadzenie w kontusze, sukmany i surduty, aby je tylko uwiarygodnić. Żukrowski, Malinowski czy Kowalczyk bez słowa protestu przywdzieją nowe sorty mundurowe. Być może znajdą się uniformy z purpury i kapelusze kardynalskie do tej narodowej zgody. Mieliśmy już takie „nieme zgody i porozumienia”. To była Targowica i ostatni Sejm w Grodnie.

CZĘŚĆ I

Nie ma narodu, zamieszkującego nawet Antypody, którego sprawy, nawet te najintymniejsze, nie były uzależnione od sytuacji międzynarodowej.

Wszystkie życiowe sprawy Eskimosów z chwilą założenia baz atomowych na biegunach są już problemem międzynarodowym. Mój Boże, gdy przystąpimy do eksploatacji bogactw naturalnych Antarktydy, wpieryw trzeba będzie powołać w ONZ komisję d/s pingwinów, która wytyczy rezerwy tych miłych ptaków, zajmie się ich rozmnażaniem i będzie broniła ich żywotnych interesów na międzynarodowym forum.

Sprawy Polaków nie umiędzynarodowiły się nagle, dzień 13 grudnia nie „... umiędzynarodowił sprawy Polski i uczynił ją przedmiotem wielkiej gry...”, jak twierdzą autorzy czwartego raportu „DiP”. W tym dniu wszystkie sprawy polskie nie stały się nagle „jej wewnętrznymi problemami, które ma prawo rozstrzygać w sposób suwerenny”, jak twierdzi nasz generalissimus i z całą stanowczością potwierdza Wilman.

Toteż rozpatrując sprawy Polski chcę zacząć od przeglądu stosunku państw ościennych do naszych problemów.

Sytuacja polityczna demoludów — wyłączając ZSSR jako odrębny kompleks — od lat układa się dla nas niepomysłnie i to w wielu wypadkach z naszej winy.

Kraje te zawsze obawiały się Polaków, obawiały się wciągnięcia w wir naszych antyrosyjskich kompleksów. Ta obawa paraliżowała nawet sympatie dla spraw polskich, a w wielu wypadkach „żywotne” sprawy Polaków były dla nich obce lub niezrozumiałe.

Ten brak zaufania do rozsądku i realizmu Polaków wyznacza nam i dziś bardzo niewygodne miejsce wśród narodów zamieszkujących „międzymorze” Bałtyckie i Czarne.

Pozostałe państwa ustalały swoją politykę na skalę odwagi horyzontów i patriotyzmu swych przywódców.

Co było w tych dążeniach najważniejsze? Wyemancypować się jak tylko się da, korzystać z każdej okoliczności, uniezależnić swoją gospodarkę od rosyjskiego dyktatu. Każdy kraj prowadził konsekwentną, mrówczą politykę walutową, aby nie dopuścić do inflacji torującej zawsze drogę niepożądaną „pomocy” czy współpracy. Lekkomysłność Polaków w traktowaniu swej własnej waluty budziła przerażenie wśród finansistów innych demoludów. Gdyby nasi turyści, którzy zwracali przede wszystkim uwagę na stopień stalinizacji kultury u naszych sąsiadów, zwrócili uwagę na to, o ile jest łatwiej wymienić w Budapeszcie korony, czy w Bukareszcie forinta niż złotego polskiego, mogliby się czegoś nauczyć. Nawet czarny rynek walutowy w tych krajach był bardzo pouczający.

A przecież, jakby nie przeliczać naszej złotówki, rola Polski w popoczdamskim układzie była w tych emancyperyjnych dążeniach decydująca. Byliśmy średnio licząc dwakroć liczniejszym narodem od każdego z demoludów z osobna. Jako partner handlowy i polityczny byliśmy bardzo ważni, bo jechaliśmy na tym samym wózku, ale Moskwa zawsze bardziej liczyła się z Warszawą niż z Bukaresztem czy Sofią. Powodzenie każdej, nawet nieśmiałej czy ukrytej próby emancyperacji zależało od pomyślnego rozwoju stosunków z Polską, bo dysponowaliśmy węglem i najsilniejszym kompleksem komunikacyjnym, wliczając w to potencjał z przemysłem stoczniowym włącznie.

Faktem jest, że generalne linie polityczne wytycza ściśle grono decydentów, ale realizuje je już szersze grono wykonawców. Od horyzontów intelektualnych tego grona, od ich patriotyzmu, uczciwości i przebiegłości zależy wiele, czasami zależy wszystko.

Po roku 1956 nasza sytuacja była wyjątkowo pomyślna. Właściwie od czasów Kazimierza Jagiellończyka nigdy tak po-

myślna nie była i nie będzie. Polska Bieruta była najmniej ze wszystkich krajów bloku dotknięta stalinowskimi represjami. Miała wystarczająco dużo zbrodni na swym koncie, ale żadnej na miarę Rajka, Slansky'ego czy Rostowa. Kraje te miały pełne prawo łączyć wielkie nadzieje z Gomułką i nadzieje te były bardzo silne. Wyjątek stanowili Czesi, którzy nie wyzwolili się dostatecznie ze swoich panslawistycznych i filorosyjskich ciągót. Traktując Polskę jako pępek świata nie zauważyliśmy, jak Rumunia rozwiązała wszystkie swoje wspólne przedsięwzięcia z ZSSR, czyniąc tym swój pierwszy i jakże ważki krok w emancypacji. My zawsze bardziej interesowaliśmy się tym, co o nas mówią w Londynie, Paryżu czy Waszyngtonie, a nie tym co w Budapeszcie czy w Bukareszcie. Kiedy my jeszcze klaskaliśmy Gomułce i śpiewaliśmy „Sto lat...”, Bukareszt toczył śmiertelną walkę z Chruszczowem o niezależność swojej gospodarki. Niejedna decyzja Bukaresztu wywoływała sytuację „wkroczą, nie wkroczą”. Chruszczow pieniał się na przywódców rumuńskich, a współcześni mu Zamiatinowie wysyłali niejedną list do kierownictwa rumuńskiego. Na jednym z demoludowych konwentykli w Berlinie najwyższa delegacja partyjno-rządowa Rumunii nie została wpuszczona na salę bankietową. Echa tych spraw docierały do Polski i dostarczały tematu do anegdot. Za to sprawy Polski bardzo interesowały Rumunów. Gdy dowiedzieli się o projekcie budowy „rurociągu przyjaźni”, wysunęli nie tyle kontrprojekt ile równoległy projekt budowy rurociągu z Konstancy i Ploesti do któregoś z naszych portów. Wśród argumentów wypowiedzianych głośno, bardzo głośno w Bukareszcie był i ten, że posiadanie dwóch kurków do ropy jest zawsze korzystniejsze niż posiadanie jednego. Nasi stratedzy od polityki „wkroczą, nie wkroczą” nie uwzględniają jednego faktu: wystarczy zamknąć ten jeden, jedyny kurek, aby „wkroczenie” było już tylko formalnością.

Bukareszt wokół tego swojego projektu zmobilizował partnerów w Budapeszcie, w Belgradzie, a nawet w Pradze. I dziś rurociąg ten w formie szczątkowej istnieje i kończy się gdzieś za Bratysławą. Nic też dziwnego, że po roku 1963, po powrocie ekipy gomułkowskiej do stalinowskiego chomąta w dziedzinie gospodarki i nie tylko gospodarki, nadzieje związane z polskim Październikiem i Gomułką w tamtych rejonach przygasły, a popaździernikowe sympatie do Polaków przerodziły się w oziębłość. Rumunia, zręcznie manewrując między kokietowaniem przez Chruszczowa Tity a jego wrogością do siebie, rozpoczęła wspólnie z Tito, wbrew Rosji, a za francuskie pieniądze, największą

inwestycję wodną Europy wszystkich czasów — tamę na Dunaju. Może w sprawach polityki kulturalnej Rumunia była stalinowska, ale ta inwestycja rozluźniła wyraźnie rosyjską pętlę na jej szyi. Dziś każda tona rudy czy innych towarów z ZSSR, która Dunajem dociera do Belgradu, Budapesztu czy Bratysławy, kontrolowana jest na słuzach tej zaporzy. Dzięki tej zaporze mógł powstać w Wiedniu niemały ośrodek budownictwa morskiego (!!!) i Wiedeń stał się portem morskim, a Austriacy naturalnymi sojusznikami Rumunii.

Autorzy raportu „DiP” często powołują się na swych respondentów. Obawiam się, że wielu z nich lepiej się orientuje w repertuarze wiedeńskich teatrów niż w obrotach wiedeńskiego portu.

Tama na Dunaju wywołała nagle w Czechosłowacji zainteresowanie naszymi portami. Jest rzeczą oczywistą, że mając w Bratysławie wielki port morski szukali możliwości przebicia się na północ. Powołali polsko-czeskie towarzystwo żeglugowe z portem macierzystym w Szczecinie i czterema statkami naszej budowy. Ci stalinowcy w Pradze jak powietrza szukali porozumienia z Polską, chociażby w sprawach komunikacyjnych i handlu zagranicznego. Zostało to przez stronę polską zignorowane i nie dziwny się, że dziś Czechów bardziej obchodzą taryfy portowe w Hamburgu czy... w Rostocku niż nasze kłopoty.

Dzięki tym krokom, dzięki wspólnym inwestycjom, dzięki wykorzystywaniu wszystkich dróg porozumienia z Belgradem, Budapesztem i Wiedniem Rumunia od trzech lat należy do Międzynarodowego Funduszu Monetarnego i swoje rozliczenia z Moskwą przeprowadza w twardej walucie. Dzięki swej pozycji delegacje partyjne Rumunii są mile goszczone w Pekinie, a Bukareszt ma normalne stosunki dyplomatyczne z Jerozolimą. Rozpatrując sytuację międzynarodową nie można nie zauważyć i przecenić faktu, że wojska rumuńskie nie uczestniczą w żadnych wspólnych manewrach „Przyjaźń” ani też ziemia rumuńska nie jest terenem, na którym takie manewry byłyby możliwe.

„Wzrost zależności Polski od polityki globalnej” wydaje się cieszyć autorów DiP-owskiego raportu, bo rozwój wypadków zależy od „układów sił i stosunków w skali europejskiej”. Oczywiście dla ekspertów DiP-u Europa to Paryż, Londyn, Rzym. Brak analizy naszej sytuacji na tle analizy sytuacji naszych sąsiadów i ich stosunku do nas mówi nam najlepiej, jak w swojej europejskości są oni zarozumiali.

Nie popełnię wielkiego błędu, gdy stwierdzę, że sytuacja

Polski bardziej dziś zależy od stanowiska Budapesztu niż wszystkich pozostałych stolic Europy. Mam podstawy twierdzić, że ocena naszej sytuacji dokonana przez Kadara i jego ekipę wiosną 1981 roku została przez całą Europę uznana za najtrafniejszą i tą oceną cały Zachód kieruje się w traktowaniu sprawy polskiej.

Aby zrozumieć obecny stosunek Węgrów do Polaków, należy pamiętać o sprawach i wydarzeniach poprzedzających rok 1956.

W początkach lat pięćdziesiątych w ramach stalinowskiego systemu politycznego Nagy próbował przeprowadzić coś w rodzaju reformy gospodarczej, coś w rodzaju NEP-u na skalę węgierską. Była to reforma oczywiście bardzo płyciutka, choć dała krótką i błyskotliwą jak na owe czasy *prosperity*. Nagy był przede wszystkim działaczem gospodarczym, jego program był zbliżony do programu Tity, bez politycznych horyzontów, odwagi i doświadczenia tego ostatniego. Toteż w 1956 i jeszcze później, w kilka lat po Październiku, Węgrzy podziwiali Gomułkę i Polaków. Podziwiali Gomułkę za to, że to co oni chcieli zrobić u siebie ten przeprowadził bez ingerencji sowieckich czołgów. Trzeba było kilku lat, by zorientowali się, że „to nie był ten sam manewr”.

Budapeszt miał prawo sądzić, że wspólne doświadczenia październikowe nasuną Polakom podobne wnioski. Mówili wprost, głośno i wyraźnie, że od nas muszą się uczyć polityki z Rosjanami, gdyż w tej dziedzinie mamy dwustuletnie doświadczenie. Rzeczywiście, doświadczenie Węgrów to krótki i tragiczny epizod z roku 1948. Węgierska niechęć do Gomułki nie rozciągała się na całe nasze społeczeństwo.

Emancypacyjna polityka prowadzona przez Bukareszt w sposób trochę hazardowy podjęta została przez Budapeszt w sposób bardziej dojrzały, i już w swoim założeniu nosiła charakter modelowy dla całego obozu. Powodzenie swojej reformy Węgrzy wyraźnie wiązali z przychylną jej oceną przez pozostałych sąsiadów, a przede wszystkim ze stanowiskiem Polaków.

Węgrzy interesowali się pracami naszego Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów i nie kryli się ze swą sympatią do jego wyników. Ostatecznie sława „polskiej szkoły ekonomicznej” była ugruntowana, a jej jawny udział w ekipie Gomułki legalizował niejako jej istnienie w systemie naszego bloku. Węgrzy chcieli korzystać z prac tego Komitetu.

Węgrzy szukali rozwiązań praktycznych, nawet doraźnych. Ich historia udowodniła, że to co doraźne w sprawach ekonomii,

wcale nie musi być tandetne. Zraziła ich polska teza, że czołgi uniemożliwiają każdą reformę. Węgrzy nie mieli innego wyjścia. Czołgi były faktem, a reforma koniecznością. Właśnie reforma dawała nadzieje wyeliminowania „czołgów” z węgierskiej rzeczywistości. Prace naszego Komitetu Ekonomicznego zraziły Węgrów swą akademickością, konstrukcją zbyt teoretyczną, aby ją było można stosować w praktyce. Przede wszystkim polska szkoła ekonomii z zasady nie uwzględniała realiów gospodarczych i technicznych.

Kto wie, czy gdyby nasi kapłani ekonomii mniej celebrowali swoją sztukę, a przejęli od Węgrów ich pragmatyzm, nie przeciągnęliby Gomułki na stronę Kadara. Przy wszystkich swych wadach charakteru, przy swych ciasnych horyzontach i koźlim uporze, Gomułka był pragmatykiem.

Co było celem węgierskiej reformy i polityki Kadara? Przede wszystkim chcieli wymazać czołgi ze swego krajobrazu politycznego. Co było trwałym celem polityki Gomułki przy wszystkich jej zyzgach? Odsunięcie wizji czołgów z naszego krajobrazu.

Nie tylko Kadar i jego ekipa, wszyscy Węgrzy zdawali sobie sprawę, że decydenci mogą wybierać kierunki reform, ale ich powodzenie leży w rękach setek i tysięcy wykonawców. Tracąc powoli nadzieję na zsynchronizowanie swojej reformy z polityką sąsiadów, robili wszystko, by zainteresować nią Polaków. Zdawali sobie sprawę, że przychylność dla węgierskiej reformy szerokich rzesz naszego *establishment*'u będzie ważniejsza niż końcowe komunikaty z oficjalnych wizyt. Niestety nas, Polaków, Węgry interesowały tylko jako atrakcja turystyczna. Wybiegając naprzód mogę stwierdzić jako roboczy ekspert wielu samorządów, że nie mogłem nigdzie znaleźć choćby powielaczowej odbitki statutów węgierskich przedsiębiorstw. Nie było jej w żadnej bibliotece czy archiwach Akademii Ekonomicznych.

W roku 1963 Budapeszt już wyraźnie startował w kierunku wielkiej, dalekosiężnej reformy nie tylko gospodarczej. W tym roku Gomułka odesłał Bobrowskiego do Algieru, a przywołał do swojej ekipy Juliusza Tokarskiego i Witaszewskiego. W politycznej nomenklaturze jeden przeszedł do historii jako „krwawy”, a drugi jako „gazurka”. Gomułka rozpoczął ostrą walkę z rewizjonizmem, nazywając go dżumą, a dogmatyzm grypą.

Fenomenem w reformie węgierskiej, daleko wykraczającym poza sprawy ekonomiczne, był i pozostał model węgierskich związków zawodowych. Związki, pozornie wmontowane w system władzy, na szczeblu centralnym tworzące z nią „ściśle kierownictwo”, tuż za progiem Biura Politycznego są samodzielnym,

często brykającym elementem węgierskiej rzeczywistości. Kadar w jednym ze swoich teoretycznych wystąpień stwierdził, że „sprzeczności interesów nie da się wyeliminować z socjalizmu, tylko trzeba pozwolić na tworzenie się instytucjonalnych form rozwiązywania tych sprzeczności”. Z tego okresu zapamiętałem lapidarne sformułowanie jednego z węgierskich dziennikarzy: „jeżeli między dyrektorem a pracownikiem nie będzie sprzeczności, to nie będzie dobrej roboty”. W tych sprzecznościach dyrektor reprezentował i bronił interesów państwa, a związki zawodowe broniły, i to twardo, interesów robotników.

Czy ktoś „z akademików DiP-u” miał w ręku protokół pertraktacji między dyrekcją węgierskiej fabryki a jej załogą w sprawie umowy zbiorowej? Czy ktoś z naszych zarozumiałych politologów i socjologów analizował, jak takie targi o każdego forinta są sztuką życia i współżycia węgierskiego społeczeństwa? Czy ktoś z naszych naukowców i pragmatyków gospodarczych, publicystów, zainteresował się fenomenem, że gospodarka węgierska rozwija się z dynamiką bliską japońskiej, bez zobowiązań produkcyjnych, bez czynów upamiętniających, przedterminowych uruchomień i pracy ponad plan. Przecież Węgry były tak blisko.

Sprzeczności interesów poprzez takie właśnie ustawienie roli związków zawodowych zostały wprowadzone do modelu ideologicznego węgierskiego socjalizmu.

Ten model jest największym osiągnięciem Węgrów, ale też ten model mógł być pretekstem do kolejnych interwencji czołgów. Kadar dał klasie robotniczej samodzielność polityczną w sprawach bezpośrednio jej dotyczących. Kadar chciał, by związki zawodowe były prowęgierskie, prosystemowe, co wcale nie oznaczało, że nie mogły procesować się lub nawet strajkować. I nikt nie uważał tego za działalność antysocjalistyczną. Nawet ta aktywność polityczna węgierskich związków wspomagała Kadara i jego politykę w najważniejszych sprawach przeciwko węgierskiemu *establishment*'owi.

Czy któryś z naszych intelektualistów zainteresował się dramatyczną walką, jaką Kadar prowadził w latach 1978-1979 na dwa fronty w sprawie podwyżek cen i zamrożenia wzrostu dochodu narodowego? Społeczeństwo węgierskie, jak każde społeczeństwo, wrogo przyjęło zapowiedź podwyżek. Z drugiej strony część gospodarczego *establishment*'u wyraźnie je torpedowała. Sfery gospodarcze „lubią inflację” i to w każdej „szerokości” politycznej. Jakaż walkę musiał swego czasu stoczyć Kennedy z *lobby* stalowym, gdy zamroził podwyżkę cen stali w USA. W każdym systemie inflacja ułatwia rządzenie.

Kadar należy raczej do milczących polityków. To nie gaduła w rodzaju Gierka czy Gomułki. Jeżeli zabiera głos, to w sprawach ważnych. W tej sprawie zabierał głos trzykrotnie, aż w końcu dramatycznie zwrócił się do narodu węgierskiego w formie przypominającej referendum: „Czy chcecie nieograniczonego importu towarów a wraz z nim importu inflacji? Czy chcecie trwałego forinta i zachowania dotychczasowych swoich zarobków?”.

Żaden z przywódców demoludów nie zwracał się do swojego społeczeństwa tak szczerze i brutalnie i w sposób tak dramatyczny nie żądał autentycznego poparcia swej polityki. Pouczające są te trzy przemówienia Kudara.

Kadar konieczność ograniczeń konsumpcyjnych, a także inwestycyjnych, wiązał w sposób logiczny i przekonujący z recesją na Zachodzie, z kurczeniem się rynków zbytu na węgierskie towary. Jednocześnie stwierdzał z nostalgią, że ekonomia socjalistyczna, która miała chronić socjalizm przed tego rodzaju kryzysowymi zjawiskami ma jakieś niedostatki, skoro go nie zabezpiecza.

Wśród przyczyn zahamowania węgierskiej gospodarki Kadar wymienia także brak szerokiej, uzupełniającej wymiany towarowej między najbliższymi sąsiadami. To już było wyraźnie pite do nas.

Reforma węgierska torowała sobie drogę w absolutnej izolacji. To, że przeprowadzał ją tak mały kraj, było jej *handicap*'em, ale i największym zagrożeniem. Jeden list Zamiatina, jeden artykuł Bieleckiego w *Trybunie Ludu*, że na Węgrzech rozwija się anarchosyndykalizm, mógł przekreślić marzenia Węgrów o autonomii gospodarczej.

Najbliższy sąsiad, Rumunia, przeprowadzał swoją sekularyzację spod dogmatów w ostrej pyskówce z Chruszczowem. Na to nie mogły sobie pozwolić Węgry, bo Chruszczow był politycznym i taktycznym dowódcą wojsk interweniujących w 1956 roku. Zresztą, dopóki będzie istniał problem Siedmiogrodu... Czechy między rokiem 1956 a 1963 przeżywały swój ostatni paroksyzm stalinizmu, a Praga była jedynym poza Tiraną miastem, gdzie ostał się pomnik... i kult Stalina. I znowu problem Nitry, Koszyc i dziesiątków innych miast na terytorium Słowacji, których zabytki Węgrzy wymieniają jako perły swojej kultury. Sprawa większa niż nasze Zaolzie.

W stosunkach z Belgradem Budapeszt nie mógł wyprzedzić ani o włos powolnej ewolucji polityki sowieckiej w stosunku do Tity jako krwawego psa imperializmu.

Dlatego też Węgrzy tak uparcie starali się zainteresować swoją reformą stroną polską. I tak bezskutecznie.

Pomijając sprawy ideologiczne, jako konsument byliśmy dla Węgrów krajem bardzo atrakcyjnym. Węgrzy nastawiali się wyraźnie na produkcję artykułów rynkowych — to był jeden z celów węgierskiej reformy. Właśnie tych artykułów było w Polsce brak. Byliśmy jako konsument rynkiem trzykrotnie liczniejszym niż ich własny. To strona węgierska była inicjatorem wymiany nadwyżek między przedsiębiorstwami handlowymi obu krajów. Nie mogąc dogadać się z polską złotówką, chcąc ominąć przelicznik rublowy, chcieli wprowadzać wymianę towar za towar. Węgrzy nie mogli zrozumieć, że Polska nie chwyta tej rzuconej im z Budapesztu linki. Węgrom chodziło nie tylko o przerzucenie przez Karpaty swoich wyrobów dziewiarskich, ale także ewidentnych dowodów skuteczności swojej reformy gospodarczej. Inicjatywa Węgiei miała inne, bardziej przyziemne przyczyny. Mimo braku porozumień handlowych na szczytach, przy niemożliwościach nawiązania porozumień na szczeblach średnich ta wymiana nadwyżek szła na całego innymi kanałami, rujnując węgierski rynek. Problem ten sygnalizowali czescy kolejarze. Pociągi z Warszawy, Krakowa czy Wrocławia były tak ponad normę przeciążone, że Czesi między stacją Czadca a Żyliną musieli doczepiać dodatkowe lokomotywy. Węgrzy dokładali wszelkich starań, by wyrównywać oficjalny kurs swojego forinta do przepływającego wraz z turystycznym tranzytem dolara. Turysty polscy robili w Budapeszcie czarny rynek dolarowy i Budapeszt stał się najpotężniejszym źródłem dolarów dla naszych pewexowskich transakcji.

Czy myślicie, że to Moskwa brutalnie przeszkodziła napływowi węgierskiej konfekcji do polskich sklepów w zamian za żelazka?

Atrakcją i siłą każdej „szkoły” jest nie to, że reprezentują ją pomnikowe postacie. Polska szkoła ekonomii szczyli się takimi reprezentantami jak Lange, Pajestka czy Bobrowski. Elewami tej szkoły są także takie orły jak Pyka, Bożyk czy też — jak się wczoraj dowiedziałem — stały przedstawiciel Polski w RWPG, obecnie już doktor, towarzysz Ptaszek. Postać wprost legendarna wśród dziennikarzy polskich parających się choć trochę ekonomią. Walory szkoły reprezentują najlepiej jej zwykli absolwenci — dyrektorzy handlowi central, fabryk czy przedsiębiorstw. Jeżeli ta szkoła jest naprawdę tak polska, to dlaczego jej teorie można wdrażać w praktyce w Syrii, Algierii, Iraku?

Dlaczego nie dała ona w niczym znac o sobie w stosunkach polsko-węgierskich, a jeżeli już, to w sposób bardzo negatywny.

Przytoczę tu dwie opinie Węgrów, z którymi zetknąłem się na przełomie lat siedemdziesiątych. „Stanowisko Polski zawsze psuło nam szyki. Dlaczego Polacy nie wyciągnęli praktycznych wniosków ze stanowiska Węgrów, by poprawić swoje szyki?” To była opinia dziennikarza, komentatora politycznego. A jak sprawy polsko-węgierskie widział jego kolega, komentator ekonomiczny?

Pogoń za dolarem, podobna na Węgrzech jak i w Polsce, z g u b i w końcu oba kraje. Łatwość zdobywania dolara jest wynikiem przegranej koniunktury na Zachodzie, który w końcu dojdzie do normalnej temperatury. Wtedy i Polska, i Węgry będą miały obydwie ręce unurzane w dolarowym nocniku i nie będzie już wolnej dłoni, byśmy mogli ją sobie podać.

To było wypowiedziane w 1974 roku na Foksal.

Po roku 1970 Węgrzy wydawali miliony forintów, by tłumaczyć i wydawać po polsku broszurki popularyzujące węgierską reformę i rozdawali je bezpłatnie wszystkim tym, których ona p o w i n n a zainteresować. Niestety cała polityka Gierka, nasze otwarcie na Zachód godziło w węgierską reformę jeszcze skuteczniej i boleśniej niż doktrynalne hamulce naciskane w Moskwie. Przykłady i ich omówienie podam w ogólnym *résumé* obecnego stosunku demoludów do Polski.

W pierwszej połowie roku 1981 Węgrzy bezskutecznie oczekiwali przedstawicieli „Solidarności” czy chociażby obserwatorów z jej ramienia na swoim Kongresie Związków Zawodowych. W powitalnym rytuale przewidziany i zarezerwowany był dla niej głos. Wielka szkoda, że doradcy „Solidarności”, wyłapujący każdą okazję do prezentowania jej w Tokio czy Paryżu, odrzucili tę z Budapesztu.

Bardzo niekorzystnym przełomem w stosunkach polsko-węgierskich była wypowiedź, a raczej refleksja Kádara na nasz temat, który dotarła do Polski wieloma tak zwanymi kontrolowanymi przeciekami. — „Teraz już nic Polaków nie uchroni przed interwencją czołgów. Czym nastąpi ona szybciej, tym lepiej będzie dla Polaków”. Kadar taktownie nie wymienił ani marki „czołgów”, ani ich znaków rejestracyjnych. I miał rację. Czołg jest tylko czołgiem. Wszystko jedno czy podejździ pod pałac prezydencki w Santiago de Chile, by zabić prezydenta Allende, czy pod Belweder w Warszawie, by wyciągnąć jego zaspanego gospodarza spod pierzyny, aby zmienić funkcjonowanie konstytucji. Czołg jest narzędziem walki, a nie instrumentem dialogu.

Tak jak ocena sytuacji Polski formowana będzie pod wpływem sugestii Budapesztu, tak propozycje wybiegające w przyszłość, co z Polską robić, kształtować się będą pod wpływem sugestii Pragi. W Warszawie nikt sobie jeszcze nie zdaje sprawy, jak wiele utraciliśmy ze swojej „wiodącej roli” w bloku państw satelickich.

To dziwne, kraje tak blisko ze sobą związane, wprost skazane na dynamiczną koegzystencję, żyją obok siebie w prawie wrogiej izolacji. To nie przypadek, jeżeli przeciętny Paryżanin czy Londyńczyk myli wydarzenia praskie czy warszawskie. Dla Zachodu jesteśmy jednym zespołem tak politycznym jak gospodarczym. Niestety, nie jesteśmy tym zespołem dla siebie nawzajem.

Przez dziesiątki lat oburzało mnie traktowanie Czechów jako „Pepików” i niedostrzeżenie w nich idealnego i naturalnego partnera, uzupełnienia naszych braków we wszystkich dziedzinach.

Polska od stuleci cierpiała na niedoinwestowanie, niedostateczne w stosunku do swoich potrzeb, zasobów, liczebności i obszarów uprzemysłowienia. Czechy, jako była i w niczym nie uszczuplona „kuźnia Austro-Węgier”, miały zbyt nadęty potencjał przemysłowy w stosunku do potrzeb własnego rynku.

Po roku 1945, po wysiedleniu Niemców sudeckich, Czechom brakowało rąk do pracy, co było przyczyną niepełnego wykorzystania ich potencjału w latach 1945-1960. Problem znalezienia pracy był dla Polaków zmorą od stuleci.

Czesi, których rozwój gospodarczy nie był zakłócony tragediami narodowymi, gdyż te się skończyły wraz z Białą Górą, dysponowali kadrą techniczną na poziomie europejskim, liczącymi się kontaktami z całym światem (Skoda, Bata) i historycznym doświadczeniem, które ukształtowało ich mentalność i sposób bycia.

Tych wszystkich cech należało się Polakom uczyć u Czechów, bez żadnego wstydu przyswajając, to są cechy nam zupełnie obce. Czeska pracowitość, zapobiegliwość, widoczna na każdym kroku gospodarność, czeska zdolność „skakania na cztery łapy” nie powinna być dla nas tematem obraźliwych anegdot.

Tragedią Czechów było ich położenie. Żaden z najbliższych ich południowo-zachodnich sąsiadów nie miał dostępu do morza. Z północno-zachodnich najbliższa droga ku morzu wiodła przez Śląsk i Pomorze, odblokowane dla Czechów dopiero po roku 1945. Przez cały wiek XVIII i XIX droga ta była zablokowana, gdyż Prusy jako państwo rywalizujące z Habsburgami

w niczym nie wychodziły naprzeciw interesom składowych części monarchii habsburskiej.

W ocenie kompleksów czeskich musimy być wyrozumiali. Gdy ich dotknęła Biała Góra, my żyliśmy w apogeum gasnącej potęgi Rzeczypospolitej zdolnej w kilkadziesiąt lat później uratować Wiedeń, kiedy Czesi wypierani byli przez żywioł niemiecki. Całe odrodzenie narodowe Czechów wiązało się z ruchem panslawistycznym — skąd Czesi mieli oczekiwać ratunku? — gdy dla nas ten ruch był nienawistny, gdyż patronowali mu... najbezwzględniejsi polakożercy. Na południu, na swych najżyźniejszych obszarach Słowacy wypierani byli przez bogatszych i w stosunku do Słowaków uprzywilejowanych Węgrów. Węgrzy zawsze byli nam sympatyczniejsi.

Gdy mocarstwa zachodnie podarowały nam wolność, gdy wreszcie obydwie narody mogły rozpocząć dialog jak równy z równym, my rozpoczęliśmy spór o jedną z karpaccich dolinek, dostarczając Lidze Narodów zatrudnienia na cały czas jej istnienia. Pikanterii temu sporowi, rozstrzyganemu trzykrotnie przez konferencje ambasadorów, dodawał fakt, że hipotecznie dolinka ta stanowiła własność rodu Hohenlohe.

Sprawa Zaolzia. Czy narody, których problemem wewnętrznym numer jeden były mniejszości narodowe, mniejszości liczone w milionach, nie mogły się dogadać w tej jednej sprawie? I w tej jednej sprawie głupota polityków polskich i czeskich były sobie równe.

Ale i tu rezerwa Czechów jest usprawiedliwiona. Czesi nie chcieli wiązać się ściślej z Polską, gdyż bali się jak ognia wciągnięcia w wir naszych antyrosyjskich kompleksów.

Ten strach przed naszym kompleksem antyrosyjskim zniweczył próby porozumienia Sikorski - Benesz w latach 1940-1943. Strona polska domagała się jasnej deklaracji ze strony Czechów, że pomogą nam w walce... z bolszewikami. W liberalnym Londynie za takie antyalianckie „siuchy” wsadzano do „pierdła” nie zważając na rangę dyplomatyczną.

W latach 1945-1948, w latach względnej swobody w rozwiązywaniu mikroproblemów polsko-czeskich i nawiązywania mikro-stosunków, nie zrobiliśmy ze swej strony ani jednego liczącego się kroku, który mógłby Czechom zasygnalizować korzyści wynikające z najdłuższej, dla nich i dla nas, granicy.

Ociepleniu stosunków polsko-czeskich nie sprzyjała ich postawa w październiku 1956 i jeszcze w parę lat potem. Tu trzeba z przykrością stwierdzić, że w swych odczuciach i ich manifestowaniu Czesi byli zgodni. Gomułka i przemiany październikowe

były tak samo wstrętne decydom na Hradczynie, jak i szaremu człowiekowi praskiej ulicy.

Jak powiedziałem, wobec Czechów musimy być wyrozumiali. To my mieliśmy historyczne doświadczenia z Rosjanami. Czesi jeszcze nie. W stosunkach gospodarczych rosyjsko-czeskich Rosjanie stosowali zupełnie inną „normę”. W latach 1948-1962 Czesi uważali te stosunki za „korzystne”. Tak przedstawiała to ich prasa. I tu spotykamy się z fenomenem niezrozumiałym dla nas, Polaków. Czesi, od paru pokoleń wychowani w duchu liberalnej, prawdomównej prasy Franza-Josepha, pamiętający jeszcze swoją obiektywną prasę w Europie lat międzywojennych, nie mogli uwierzyć, nie byli w stanie pomyśleć nawet, że gazeta może kłamać!

To tylko my, Polacy, mamy tak dobrą szkołę w czytaniu między wierszami i posiadaliśmy zawsze drugi obieg informacji. Czechom w porównaniu z całym blokiem satelickim nie wiodło się najgorzej. I tu daje znać o sobie jeszcze jedna z cech charakteru czeskiego.

Czesi upaństwowili przemysł, ale zostawili w charakterze wicedyrektorów właścicieli i prawie nienaruszony zespół kierowniczy swych zakładów. Premier Strougal jest jednym z wicedyrektorów Zakładów Bata. Czesi odcięli się od swojej londyńskiej emigracji, ale nie pozbawili jej czeskiego obywatelstwa. Wieszali na każdym możliwym kominie portret Stalina, ale wskazania leninizmu-stalinizmu dostosowywali do swoich czeskich norm. Przykład — czeska kolektywizacja zupełnie u nas nieznaną, mająca do dziś zwolenników. W roku 1968, kiedy „runęło wszystko”, nie rozpadła się ani jedna spółdzielnia. W roku 1979 problemem czeskim był odpływ robotników z fabryk do... spółdzielni. Czy nam się to podoba czy nie, takie są fakty!

Poza grupą intelektualistów, poza grupami bezpośrednio dotkniętymi terrorem stalinowskim, grupami najliczniej reprezentowanymi przez starych komunistów i ścisły aparat władzy, w roku 1956 nikt tak znów w Pradze gorąco destalinizacji nie pragnął. Przeciętny Czech nie rozumiał warszawskiego „buntu”. Im wiodło się dobrze... jeszcze dobrze.

Na dowód, że problemów demoludów nie można widzieć jako jednej spójnej całości nie popełniając przy tym fatalnego błędu, niech będzie przykładem ewolucja poglądów Czechów na polski październik.

Gdy po roku 1963 w Budapeszcie, Bukareszcie, w Belgradzie a także w Berlinie położono łagę na Gomułkę i jego politykę,

w Czechosłowacji rodzi się wielkie zainteresowanie problemami polskimi.

Koło 1963 roku czeska *prosperity* gospodarcza zaczęła się ostro załamywać. Czechosłowacja — jak już wspomniałem — była jedynym krajem o idealnie wprost nienaruszonej gospodarce w powojennej Europie. Poza krótkim epizodem powstania w Pradze, armia rosyjska z jednej a amerykańska z drugiej strony wkraczały do miast, w których kursowały tramwaje i toczyło się normalne życie. Niemcy, nie mogąc już swojego przemysłu zbrojeniowego traktować „rozwojowo”, inwestowali w przemysł czechosłowacki, do końca przekazując w ten rejon do wdrożenia swoje ostatnie licencje. Już po maju 1945 Czesi mogli oferować zrujnowanej Europie swoje najnowsze modele Skody, Pragi, Tatry, Aero, w wersji „polowej” i „cywilnej”. Jako państwo zwycięskiej koalicji dzięki mądrości swej londyńskiej emigracji przez pierwsze trzy lata, tak ważne w momencie odbudowy, Czesi nie utracili nic ze swoich zachodnich powiązań a zyskali wszystko, co było możliwe od Stalina, zjawiając się w porę w Koszycach. Benesz pozostawił w Londynie swoich Sosnkowskich i Arciszewskich, żegnając się z nimi na przyzwoitym bankiecie. Wyjechał z kadłubowym rządem uzupełniając go grupą Gottwalda w Koszycach. My w takiej polityce Czechów upatrujemy dowodów zdrady, przebiegłości, braku honoru. Dlaczego, do jasnej cholery?! To jest polityka, dzięki niej Benesz uratował Czechy przynajmniej na trzy pierwsze lata.

Ta niebywała wprost powojenna *prosperity* dawała Czechom pozycję uprzywilejowaną i w całym bloku i nawet poza nim. Nawet stalinowska ekonomika nie była w stanie jej poważnie zakłócić. Dopiero po roku 1960 Czesi zorientowali się i odczuli to, że ich przemysł jest zacofany w stosunku do Europy, system zarządzania niereformowalny. O tym ostatnim mieli się dopiero przekonać w roku 1968. Dopiero po roku 1960 zainteresowali się przemianami, które zaszły w Polsce, ale ich ignorancja spraw polskich była idealnie równa naszej ignorancji spraw czeskich: nie dostrzegli, co z tych reform przestało już być aktualne, a co dla nich stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo.

To, co się działo w Czechosłowacji między rokiem 1956 a chwilą obecną powinno nas interesować nie tylko dlatego, że Czesi i Słowacy są naszymi najbliższymi sąsiadami i mamy z nimi najdłuższą, poza Zaolziem nie budzącą kontrowersji granicę. To ważny fakt, gdyż linia Odry czy linia Bugu wciąż pobudza niezdrowe namiętności. Klęski i tragedie Czechów a także ich sukcesy powinny być przedmiotem naszych głębokich studiów,

gdyż są one modelowe dla całego systemu demoludów, a dla nas nie tylko pouczające, ale w wielu wypadkach warte naśladowania.

Stalinizm czechosłowacki w swojej zewnętrznej manifestacji osiągnął szczyty i przelicytował to, co się działo w samej Rosji. Tytuł portretów Stalina na kilometr kwadratowy, tytuł ołtarzyków ile wystawiono Stalinowi w Czechach nie wystawiono mu nigdzie. Przy tej zewnętrznej manifestacji kultu Stalina system zarządzania gospodarką czeską zachował swoją tradycyjną pragmatyczną spójność i doktrynalne hasła głoszone na pokaz nie zakłóciły jego funkcjonowania, tak jak na przykład w Polsce. Mimo dyktatury partii w indywidualnych wypadkach bardzo bolesnej, pozostały tradycyjne interesy ze względną swobodą decyzji, reprezentujące także dużą siłę jako grupy nacisku.

By zrozumieć, dlaczego polityka Czechów wobec Związku Sowieckiego była taka a nie inna trzeba stale pamiętać, że potencjał przemysłowy Czechosłowacji wielokrotnie przewyższał chłonność własnego rynku, a niedostatki surowcowe są jego nierozwiązywalnym problemem. Czechy były „zagłębieniem Ruhry” monarchii habsburskiej. W latach międzywojennych i to od razu od lat dwudziestych wymiana handlowa z Rosją była celem strategicznym Czechów nie tylko w sferze gospodarczej. Były lata, kiedy udział Rosji w handlu z Czechosłowacją był procentowo najwyższy w Europie. Ratowało to Czechów w latach kryzysu. Utrata Rusi Zakarpackiej nie wywołała wielkiego wstrząsu, gdyż jej przynależność do Republiki w latach międzywojennych wynikała raczej z układów powersalskich niż z historycznych sentymentów. Ten skrawek Europy mógł przypaść albo Węgrom albo Polsce. Przypadł Czechom.

Dlatego też serwilizm grupy Gottwalda i jego uległość w sprawach doktryny i polityki nie budziły tak wielkich oporów czy wątpliwości, jak w Polsce. Dodajmy do tego słowianofilstwo Czechów jako ich doktrynę narodową. Nie naginajmy wszystkich do naszej narodowej antyrosyjskości, dla wielu narodów wprost niepojętej, i nie traktujmy jako wrogów wszystkich tych, którzy te problemy widzą inaczej.

Dla stalinowskiej postawy Hradczyna i prostalinowskiej postawy całej społeczności Czechów w latach 1945-1956 nasze wypadki poznańskie, a potem nasz Październik były po prostu buntem. U społecznie zdyscyplinowanych Czechów, od czasów Wiosny Ludów nie znających takich form manifestowania swoich uczuć, nie znajdowały one wytłumaczenia ani zrozumienia.

Zrozumienie postaw Czechów w stosunku do nas jest w chwili

obecnej bardzo ważne. Tak jak postawa Gomułki zdecydowała o takim a nie innym finale „praskiej wiosny”, tak dziś opinia Pragi może wpływać na decyzje Moskwy, Bonn i Nowego Jorku, co wreszcie zrobić z Polakami. Skłonny jestem przypuszczać, że bez konsultacji z Pragą te ośrodki nie podejmą rozstrzygających decyzji. A ta postawa Czechów od roku 1956 do chwili obecnej ewoluowała w kierunku bardzo dla nas niekorzystnym.

Gmach względnie dobrze funkcjonującej gospodarki czeskiej zaczął się rysować około roku 1960. Czesi wyczerpali wszystkie swoje technologiczne i patentowe rezerwy, jakie w bogatym spadku zostawiła im Trzecia Rzesza. Kraj nowoczesnego przemysłu mocniej odczuł skutki żelaznej kurtyny i blokady technologicznej niż zacofana Polska, Rumunia czy nawet Węgry. Duch Genewy, upadek różnych embargo unaoczniał nagle Czechom ich zacofanie i fakt, że zajmując kiedyś poczesne miejsce w przemyśle europejskim, teraz już dla niego po prostu nie istnieją. Rykoszetem zwróciły się przeciwko nim ożywione stosunki z Rosją. Swoimi niewysokimi wymaganiami jakościowymi Rosjanie zaciągnęli Czechów w niebezpieczny dołek.

Jak powiedziałem, polityczna grupa decydencka w Pradze była tak zajęta zajadłym tępieniem swych rewizjonistów, że pozostawiała względną swobodę gospodarczym *lobbies* na szukanie wyjścia z kryzysu, jak się wówczas Czechom wydawało, przejściowego.

Tu muszę przyznać całkowitą rację Bratkowskiemu, że nie można zreformować gospodarki bez zreformowania politycznego centrum.

Czeskie *lobbies*, wykorzystując swój margines swobody, szukały porozumienia przede wszystkim z Polakami. Nie bez znaczenia w wyborze kierunku tych zainteresowań był fakt, że w oczach Czechów Warszawie udało się uniknąć losu Budapesztu. Zrozumieli, że nasze doświadczenia z Rosją mogą być i przez nich wykorzystywane.

Liczyli, że nasza popaździernikowa „decentralizacja” ułatwi obopólne kontakty. Czesi w swej stalinowskiej centralizacji nie zabrnęli tak absurdalnie daleko jak my. Nie wyniszczyli swojej przedwojennej kadry bierutowskimi działaniami w rodzaju „robotnicy na dyrektorów”.

Jako pragmatyków Czechów interesował przede wszystkim rozwój współpracy gospodarczej. Chcąc uwolnić się od tak szkodliwego już dla nich monopolu handlu z Rosją, liczyli na nasz rynek zbytu, a także na nasze zasoby naturalne.

Interesowało Czechów przebicie okna na Bałtyk. Górnołot-

ny „duch Genewy” nie obejmował stosunków z Bundesrepublik i „nieprzejdanym” Adenauerem. Wszystkie nitki wiążące Czechów ze światem zasupłane były w Hamburgu. Czesi zaczęli od rozbudowy floty pod swoją własną banderą, z portem macierzystym w Szczecinie. W samym Szczecinie stworzyli strefę wolnościową i liczyli na efektywną przychylność z naszej strony w tej dziedzinie. Nie mogli zrozumieć, że ktoś nie widzi kury znoszącej złote jaja, jakim jest tranzyt. Nikt im nie potrafił wytłumaczyć, że to Gomułka a przede wszystkim Kliszko nie kochają morza i naszą obojętność wobec czeskich poczynań potraktowali jako dowód naszych antyczeskich uprzedzeń.

Ta morsko-gospodarcza współpraca, na którą Czesi tak naciskali, mogła wystarczyć na stworzenie silnego bloku obydwu państw, emanującego na inne dziedziny tak gospodarki jak polityki. Ta współpraca zmarła śmiercią naturalną, gdyż Szczecin ani wtedy, ani teraz nie ma racjonalnych powiązań komunikacyjnych z Polską, a cóż dopiero z Czechami. Czesi przez parę lat pętali się po Szczecinie, aż wyjechali do Hamburga, zwabieni techniczną doskonałością tego portu. Niemcy zorientowali się szybko, kto znosi złote jaja, i stworzyli Czechom najdalej idące udogodnienia w ich tranzycie w Hamburgu.

Nieprzekraczalną barierą modernizacji czeskiej gospodarki i nadgonienia lat pięćdziesiątych był brak rąk do pracy. Mimo wprowadzenia i egzekwowania surowego obowiązku pracy, zatrudnienia emerytów, przeczesywania administracji nie stać ich było na inwestycje, nie mieli wykonawców.

Czesi w latach 1960-1963 mogli zatrudnić w swoich inwestycjach w sposób zorganizowany tysiące polskich pracowników. Chłonność czeskiej gospodarki na polską siłę roboczą była i jest tak wielka, że nie ograniczała się i nie ogranicza do samych inwestycji. Tuż za jakże umowną granicą Gomułka szalał w inwestowaniu „w tanie miejsca pracy”, a nasz przyrost naturalny traktował jako klęskę narodową.

Wspomniałem o umownej granicy. Dziesiątki tysięcy Polaków marzy o wyjeździe do Australii, Afryki Południowej, „dokądkolwiek, aby daleko”. Sto sześćdziesiąt tysięcy już wyjechało.

Wielu z moich przyjaciół traktuje mnie jako programowego czechofila. Nie ukrywam mojego podziwu dla wielu cech czeskiego charakteru. Nie tylko irracjonalne sympatie kierują moje zainteresowania w stronę Czech. W zbliżeniu polsko-czeskim widzę jedną z najważniejszych dźwigni budowy tak politycznej jak i ekonomicznej autonomii. Czym więcej tej autonomii, czym wszechstronniej będzie ona rozbudowywana i powiązana z sąsia-

dami, tym mniejszy będzie nasz strach przed czołgami i mniejsze drżenie łydek po każdym liście Zamiatina.

Nic tak nie rozprasza podobnych urojonych urazów jak wszechstronne wzajemne poznanie się. Osobiście mogłem stwierdzić, że Czesi po bliższym poznaniu polskich robotników chwalą ich za... rzetelność, oszczędność i trzeźwość!!! To nie Moskwa przeszkadzała w zarobkowej emigracji do Czech. W rejonach nadgranicznych półlegalnie działający werbownicy zwerbowali już i werbują w dalszym ciągu tysiące młodych pracowników. Ta emigracja zamiast przybliżać rodzi nowe konflikty. Nie ma oficjalnych umów, nie ma oficjalnych przeliczników zarobków. Przeciętny Czech ma więc oczywisty dowód, że Polacy są „z natury” elementem kryminogennym z wrodzonymi skłonnościami do przemytnictwa i handlu pokątnego. Przepisy są tak absurdalne, że przedsiębiorstwa pracujące legalnie w Czechosłowacji po wykonaniu zadań muszą na miejscu złomować tam zakupione samochody, dźwigi i inny sprzęt, bo nie wolno go przewieźć do kraju. Zakupiony został „poza limitem”!

Jakie to przykre, że wśród multum posierpniowych postulatów znalazł się postulat, jakże słuszny zresztą, wolności wyjazdów na Zachód, a nie było słowa o rozszerzeniu polsko-czeskiej strefy turystycznej czy uregulowaniu małego ruchu granicznego.

Przepraszam czytelnika, że poniesiony osobistą irytacją wybiegłem zbyt daleko naprzód. Wspomniałem, że czeski kryzys siły roboczej ograniczył możliwości szybkiego modernizowania gospodarki, a tym samym pogłębił kryzys polityczny. Dowolność przemian sprzyja konserwie, pozwala jej na zastyganie w beton.

Czeska modernizacja i reorganizacja nosząca w sobie zarodki reformy przemysłu ograniczana była także bazą surowcową. Czesi zdawali sobie sprawę, że chcąc się modernizować muszą uniezależnić się od dostaw rosyjskich. Przebicie w stronę Bałtyku miało na celu utorowanie drogi innym dostawcom rudy. Czesi szukali gorączkowo innych źródeł surowców. I dlatego tak poważnie zainteresowali się polską siarką a następnie miedzią.

Znam wszystkie trzy warianty zagospodarowania polskiej siarki opracowane przez naszych naukowców. Jak dotychczas jest to jedyny dokument naukowy opracowany tak uczciwie, jaki miałem w ręku. Przewidywał on między innymi „demoludowy” sposób wykorzystania tego niebywałego, strategicznego bogactwa, jakie prawie cudem wpadło nam w ręce. Cudem, bo przed odkryciem tarnobrzeskim powołaliśmy kombinat „Nida”, który na angielskiej technologii miał wypłukiwać siarkę z miejscowego

gipsu. Dziś w tej okolicy wyłukujemy czystą siarkę. Gdy około roku 1960 przedstawiono Gomułce wariantowe propozycje wykorzystania siarki, miał on wykrzyknąć „ani tony siarki za ruble!”. Czesi zostali dość brutalnie odsunięci od polskiej siarki.

Gomułka nie lubił Czechów tak jak każdy przeciętny Polak. Niestety nie znam ani jednego z polskich technokratów czy też ekonomistów, który by w owym czasie nie chwalił decyzji Gomułki. Nie chodzi mi tylko o ludzi z kręgu Jaszczuka, który się chwalił, że wyprzedając polską siarkę zarabia dolara za pięćdziesiąt groszy. Siarka mogła być kolejnym filarem budowy polsko-czeskiej współpracy i to filarem potężnym, o światowym zasięgu i politycznej wymowie.

We wspólną eksploatację siarki Czesi pchali się bezceremonialnie i równie bezceremonialnie zostali odrzuceni. Być może ta bezceremonialność zrażała „dumnych” polskich inżynierów. Tam gdzie chodzi o interesy, mniejszą wagę należy przywiązywać do *savoir-vivre*'u. My mieliśmy siarkę, my mieliśmy porty, którymi mogły przychodzić fosfaty, my mieliśmy i mamy olbrzymi chłonny rynek, a Czesi lepsze przygotowanie techniczne do wspólnego wykorzystywania siarki. Po co nam byli potrzebni Francuzi w Policach?

Czechów interesowała także polska miedź, i to bardzo. To jest zrozumiałe. Mieli rozwinięty przemysł maszynowy i elektromaszynowy, samochodowy, rozwinięty przemysł galanterii armaturowej. O ile w roku 1960 my produkowaliśmy równo dwa razy tyle miedzi co Czechosłowacja, to w 1978 piętnaście razy więcej. Laikom z DiP-u dla orientacji podaję — produkowaliśmy miedzi tyle, co RFN, trzykrotnie więcej niż Wielka Brytania, dziewięć razy więcej niż Francja, dwadzieścia razy więcej niż Włochy, tylko pięć razy mniej niż Stany Zjednoczone.

To naszym psim obowiązkiem było szukanie dla naszej miedzi bliskich rynków zbytu. Każdy z nas jest cholernym patriotą, szczególnie po wódce. Każdy z nas marzy o potędze ojczyzny, lecz gdy przychodzi do wyliczania elementów tej potęgi, to zaraz pojawia się Somosierra, nasz wkład w kulturę europejską i to, że my się tak łatwo nie damy. Budując potęgę czy chociażby niezależność trzeba się opierać na konkretach, a tych konkretnych szukać blisko siebie. Miedź, cynk, którego produkujemy tylko o połowę mniej niż Stany Zjednoczone a więcej niż Wielka Brytania, Włochy i Francja, plus nasz węgiel — to były elementy budowania potęgi i niezależności. Zostawiliśmy to wszystko u zachodnich pętałów, do których dziś wyciągamy rękę po jałmużnę. Czesi biorą od nas dzisiaj niewielki procent

tej miedzi, którą my oddajemy tylko na spłatę odsetek naszych zadłużeń.

Wymieniam to wszystko może zbyt dokładnie, ale propozycje współpracy w tych dziedzinach Czesi wysuwali zarówno na spotkaniach „na szczycie”, na międzynarodowych komisjach mieszanych jak i w prywatnych rozmowach z pracownikami przemysłu siarkowego, cynkowego i miedziowego. Na wszystkich szczeblach zostali zignorowani.

Zastanówmy się przez chwilę. Gdybyśmy te nasze bogactwa wykorzystywali wspólnie w sposób szeroko i głęboko zintegrowany, gdybyśmy włączyli Węgry z ich aluminium, czy groźne byłyby dla nas dziś recesje. Czy groźne by były listy do kierownictwa partii, która uzurpuje sobie kierowniczą rolę nad narodem. Czy listy takie byłyby możliwe do kierownictwa potężnych koncernów o światowym wpływie i zasięgu. Kto wie, czy wtedy na list Zamiatina nie odważyłby się odpisać na przykład Urban, gdyby został rzecznikiem prasowym polsko-czesko-węgierskiego konsorcjum metali nieżelaznych? Na tym stanowisku byłby kimś. Z jego zdaniem liczyłaby się pani Thatcher. Rzecznik prasowy trustu panującego absolutnie nad 60-milionowym rynkiem producenta i konsumenta — Polska, Czechosłowacja, Węgry — kontrolującego połowę europejskiej produkcji miedzi i cynku to byłoby coś więcej niż potakiwacz Obodowskiego czy Baki. Przed takim Haig musiałyby się tłumaczyć ze swej nagłej dymisji. Ale Urban musiałyby mieć ambicje i zdolności robienia kariery w polityce, a nie w *Polityce*. Tej *Polityce*, która konsekwentnie przez dwadzieścia lat odrzucała wszystkie artykuły Kuśmierka w sprawie miedzi.

Wszystkie te wysiłki Czechów nawiązania ściślejszych stosunków gospodarczych z Polską miały miejsce między rokiem 1960 a 1963. Co ciekawsze, w tych latach grupa Clementisa destalinizowała się bardzo niechętnie i prowokująco powoli. Nie zapominajmy, że pomnik Stalina, jego ostatni pomnik od Amuru po Atlantyk, został usunięty w Pradze dopiero w roku 1963, i to nie z politycznych przyczyn, a z powodu... zagrożenia budowlanego. Podkreślam to z naciskiem, aby naszym politykom uświadomić, że nawet w tak stalinowskim systemie jak czeski w tym czasie możliwe były manewry grup gospodarczych bez uzgadniania ich z Moskwą. Te manewry miały miejsce, gdy na szczytach RWPG wciąż fanzolono o integracji, wspólnym planowaniu i zacieśnianiu braterskich stosunków. Tylko naszą inicjatywę paraliżował strach, że Moskwa może na coś nie pozwolić. Zakładaliśmy, że lepiej nic nie robić niż się jej narazić.

W roku 1960 gmach gospodarki czeskiej zaczął się rysować, w 1963 już niebezpiecznie zdrzął. Dla grup przemysłowych stało się jasne, że modernizację trzeba przyspieszyć.

Przeciętny Czech inaczej już wtedy patrzył na polski Październik. Niestety, granica polsko-czeska jest tak nieprzemakalna, że nie przenikają przez nią ani informacje, ani nawet nastroje. Czesi, którzy dopiero po 1963 roku zaczęli się „destalinizować”, mieli prawo sądzić, że w Polsce ten proces jest już daleko zaawansowany. Nie zdawali sobie sprawy z nawrotu stalinizmu w wydaniu gomułkowskim. W tym czasie Gomułka rozwiązał Komitet Ekonomiczny, a dzisiejszy liberał z „czerwonej kanapy” Morawski ogłosił, że proces reformowania gospodarki został zakończony. Gomułka nie pokłócił się wtedy jeszcze z Morawskim o byłą żonę Logi-Sowińskiego. Gomułka odrzucił „doradztwo” Bobrowskiego, a przywrócił do łask „gazurkę” Witaszewskiego i „krwawego” Juliana Tokarskiego. Niezniszczalny rzecznik Polskiej Szkoły Ekonomicznej Pajestka znalazł się w dobrym towarzystwie.

Na zmianę stosunku Novotnego do Gomułki nie miały wpływ wywarła nocna wizyta świeżo upieczonego kierownictwa sowieckiego — Breżniewa i Kosygina — w Białowieży.

A było to tak.

Dla Pragi składającej wciąż kwiaty pod pomnikiem Stalina Chruszczow był „uzurpatorem”, a późniejszy jego przyjaciel Gomułka niebezpiecznym rewizjonistą. Praga tolerowała Chruszczowa, wychodząc z założenia, że wszystko co kremlowskie musi być dobre, choć niekoniecznie musi być Czechom miłe. Pucz antychruszczowowski przyjęty był w Pradze z ulgą. Fakt, że bohaterowie puczu, Breżniew i Kosygin, w niecałe 48 godzin po przewrocie zjawili się w Białowieży u Gomułki dla Pragi był szokiem. Teraz nagle spostrzegli, że ten buntownik wcale nie jest Moskwie taki niemiły.

Gomułka na tyle się dostalinizował, że znaleźli wreszcie wspólny język... na temat zwalczania rewizjonizmu.

Gomułka nie lubił Czechów. Kogo on zresztą lubił? Ale dla czego Czechów nie lubili technokraci z Ursusa, z Jelcza, z Hutmenu, Zjednoczenia Portów czy FSO? Dlaczego Czechów nie polubili nasi intelektualiści?

I Czechom nieobce są różne kompleksy narodowe, tak jak i nam, chociaż są inne „gatunkowo”. Czechów gnębi kompleks Monachium. Dosadnie to określił jeden z moich praskich rozmówców: „każdy bije Czechów w osamotnieniu”. Czesi w swoim niedoścignionym pragmatyzmie zdawali sobie sprawę, iż

są krajem za małym na wielkie eksperymenty polityczno-gospodarcze. I nie łudzili się, jak wielu z nas do tej pory, że można modernizować i liberalizować gospodarkę o b o k niereformowanego systemu politycznego.

Nikt w Polsce w latach 1965-1968 nie dostrzegał, że tak jak Warszawa była centrum wydarzeń 1956, tak teraz to centrum przesuwają się do Pragi. Tak jak wtedy życzliwość Czechów byłaby nam wielce pomocna, tak później nasza życzliwość stawiała się Czechom niezbędna. Nie liczyli na życzliwość Gomułki, głównego inspiratora politycznego najazdu na zrewoltowaną Pragę czy generała Jaruzelskiego, już wówczas dowódcy wojsk, które tego najazdu dokonały. Potrzebna Czechom była życzliwość warszawskiej, gdańskiej, katowickiej ulicy. Objawów takiej życzliwości nie zaobserwowano.

Generał Jaruzelski i jego sztabowcy na trzydzieści lat przed własnym grudniem mogli w Pradze przeciwżyć dowodzone przez siebie wojska w walce z robotnikami. Przeciwczyli zasady prowadzenia konwersacji z narodem sterroryzowanym czołgami. Jeszcze raz powtarzam, w Polsce 13 grudnia nie wydarzyło się nic specjalnie nowego, a w każdym razie nie dla generała Jaruzelskiego. Sięgnął do swoich rozkazów z 1968 roku i wstawił aktualne daty. Oto metryka polityczna partnera do dialogu.

Znów wybiegłem naprzód, bo wydarzenia obecne nie pozwalają na spokojną analizę tak niedawnej przeszłości.

Między rokiem 1963 a 1966 ze względą swobodą w podejmowaniu takich inicjatyw Czesi występowali wobec nas z całym wachlarzem propozycji współpracy w wielu dziedzinach. Dla nas ta współpraca była intratna. Mogliśmy względnie szybko i względnie tanio wygrzebywać się z zacofania, w jakie wepchnął nas Gomułka. Wymienię tu tylko współpracę z Zetorem, która wtedy była dla Ursusa otwarciem okna na świat, a i dziś jeszcze ratunkiem przed bankructwem. Czesi gorączkowo szukali współpracy z naszym przemysłem motoryzacyjnym, zanim uniemożliwiła ją licencja Fiata. Mogę wymienić dziesiątki inicjatyw, które z nonszalancją odrzucono. Po roku 1966 już dla wszystkich Czechów było jasne, że Gomułka jest takim samym stalinowskim ciułem, jak ich Novotny. Czesi zdawali sobie sprawę, że ku własnemu przeznaczeniu idą już samotnie. Nie przypuszczali jednak, że my okazemy się tak wredni.

Narodów nie sędzi się po intencjach ich przywódców. Tak jak dla nas 1939 rok był rokiem napaści Niemców, tak dla

Czechów rok 1968 był rokiem najazdu Polaków, Rosjan, Niemców. Proszę zauważyć, że nie brali w tym najeździe udziału Rumuni. W pamięci Czechów zapisaliśmy się niechlubnie na wiele, wiele lat.

Jestem fanatycznym zwolennikiem wyciągania „pozytywnych wniosków z negatywnych zjawisk”. Dla mnie Czesi po roku 1968 są niedoścignionym przykładem, jak się takie wnioski praktycznie wyciąga. Dla Rosjan, dla gospodarki rosyjskiej inwazja 1968 roku była najkosztowniejszą z dotychczasowych operacji tego typu i idealnie bezskuteczną. Wszystkie reformy zapoczątkowane przez Dubczeka zostały zrealizowane i poszły dalej niż to proponował Dubczek. I Moskwa to przełknęła i... sfinansowała. Po czołgach nadeszła inwazja Łady, Wołgi, maszyn rolniczych. W roku 1975 nasza coca-colowa *prosperity* była połączoną nędzą wobec stopy życiowej Czechów. Tego się nam od nich uczyć.

Czesi patrzyli z przerażeniem na nasze gierkowskie odcumowywanie z wątlutkiej współpracy polsko-czeskiej. Widząc jak borykamy się z problemem części wymiennych i remontami, zafundowali nam Antoninek pod Poznaniem i pukali się palcem w czoło, gdy zaczęliśmy tam „produkować” Tarpana. Nasza lekomyślność gierkowskiego okresu totalnie zniechęciła do nas praktycznych Czechów. W najbliższej przyszłości będzie to miało skutki fatalne.

Słepocie politycznej nas wszystkich, obojętności na wszystko to, co się działo za południową granicą zawdzięczamy czeską obojętność na polski sierpień 1980.

Polityki nie uprawia się tylko na szczytach. Polityka na co dzień s t o s o w a n a przez każdego i przy każdej okazji jest trwalsza od oficjalnej. Przyjaźni między narodami, tej autentycznej przyjaźni, nie nawiązuje się na rautach w ambasadach. Narody tak jednostronnie zagrożone i tak bliskie sobie powinny przyjaźni wpisać w rejestr kanonów politycznych, w swą doktrynę.

Kto ma być inicjatorem tej polityki? Kto miał więcej atutów i to w każdej dziedzinie? Kto miał więcej historycznych doświadczeń? Odpowiedź jest jednoznaczna. Graliśmy i gramy z Czechami tymi samymi kartami przy zielonym stoliku historii. Dla nas jednak każde „wyjście” czeską figurą ma jedną wartość — Pepik. To się na nas zemści tak w najbliższych tygodniach, jak w najbliższych latach.

Jesteśmy od XVIII wieku p o r a ż e n i przewagą Rosji. Wymowa liczb — ludność, terytorium, zasoby — jest druzgo-

cała. Dobilo nas, że przez cały wiek XIX mogliśmy przeciwstawić zaledwie 1/3 naszego potencjału.

Jako przeciwwagi szukaliśmy oparcia w sympatiach Paryża, Londynu, Waszyngtonu a także, niestety, Berlina i Wiednia. Nie dopuszczaliśmy do siebie myśli, że dla tamtych stolic jesteśmy cenni jako dywersant w polityce z Moskwą. Moskwa zawsze mogła i może zaproponować rozwiązanie długofalowe, trwalsze niż jej wiecznie zacierzewiony polski przeciwnik. To wypaczało naszą kulturę polityczną i było źródłem klęsk i równych klęskom rozczarowań.

Po roku 1945, kiedy „linie interesów” Wschód-Zachód zostały twarzo i jednoznacznie określone, obowiązkiem naszej polityki było szukanie „przeciwwagi” w najbliższym sąsiedztwie wśród narodów prawie nam równych i tak samo montowaniem tej przeciwwagi zainteresowanych.

To działanie nie musiało być ani wrogiem interesom Moskwy, ani niemiłe Zachodowi. To była szansa dla wszystkich. *Casus* Jugosławii jest mini-modelem takich właśnie stosunków.

„Odtąd sprawa Polski... w zasadniczym stopniu zależy od polityki światowej, to znaczy od polityki innych państw”.

Tak twierdzą autorzy raportu Konwersatorium DiP.

Oczywiste, że los Polski zależy od polityki innych państw, ale byłoby dobrze gdyby był zależny od nas i gdybyśmy mieli chociaż minimalny wpływ na politykę tych państw w stosunku do Polski.

Dokonując przeglądu sytuacji Polski na tle sytuacji jej najbliższych sąsiadów, celowo pomijałem Bułgarię i NRD.

Bułgaria od dwustu lat leży w orbicie polityki rosyjskiej, jest centralnym punktem tej polityki na obszarze Morza Czarnego i Bałkanów. Ta rola wcale Bułgarom nie przeszkadza, przeciwnie, są z niej zadowoleni. Trudno liczyć, by w dającej się przewidzieć przyszłości Bułgarzy mogli myśleć i działać „antyrosyjsko”. Wszystko, począwszy od swojej niepodległości aż po dzisiejsze znaczenie „w świecie”, zawdzięczają Rosji.

Na początku lat siedemdziesiątych gospodarka bułgarska wpadła w głęboki kryzys. Związek Sowiecki natychmiast, w ciągu kilku miesięcy wykupił wszystkie bułgarskie skrypty dłużne wystawione przez rząd w Sofii na poczet wpływów z rozwoju turystyki. Gospodarka bułgarska dostała olbrzymią bezzwrotną dotację, a kraje RWPG otrzymały polecenie, by podtrzymać bułgarską walutę. Sofia jest „poczekalnią” dla wszystkich krajów lewantyńskich chcących dostać się do gabinetu Gromyki. Bułgaria jest „rezerwą” w polityce sowieckiej w stosunku do Grecji.

Po nieudanych próbach z Makariosem głównym celem polityki rosyjskiej w tym rejonie jest wyprowadzenie Grecji z NATO lub takie jej osłabienie w tym bloku, by raczej stanowiła ona problem dla Waszyngtonu, a nie dla Rosji. Trzeba przyznać, że to się Rosji udaje. Bezsprzecznie inspirowany przez Amerykanów pucz Czarnych Pułkowników nie mógł być tolerowany w przyzwoitym demokratycznym towarzystwie reszty członków NATO i EWG. Zresztą Grecja jako baza interesuje wyłącznie Amerykanów, gdyż po wycofaniu się Anglii z Cypru i Aleksandrii EWG nie chce utrzymywać antyarabskich baz w tym rejonie. Przy niemałym trudzie socjalistycznej Międzynarodówki i pod jej presją Amerykanie cofnęli poparcie dla Czarnych Pułkowników i w Grecji zapanował rząd socjaldemokratyczny. Politolodzy z DiP-u niezbyt uważnie czytają gazety, nawet nasze. Pierwszym międzynarodowym krokiem demokratycznych władz Grecji był list do Breżniewa z otwartym zapytaniem — „jak zareagowałby Związek Sowiecki, gdyby Grecja wypowiedziała bazy jednostkom NATO”. Odpowiedź Breżniewa była natychmiastowa — Związek Sowiecki n i g d y nie zaatakuje terytorium Grecji bronią nuklearną, jeżeli nie będzie tam wojsk NATO.

Ta wymiana korespondencji wywołała szok na Zachodzie. Utrudniła sytuację Grecji jako „członka stowarzyszonego EWG”, ale od tego momentu Grecja we wszystkich głosowaniach, w Brukseli, w Luksemburgu i w Paryżu stawia swoje twarde, bezwarunkowe „nie”. Jest to jedyny kraj NATO, który nie tylko nie zgodził się na rozmieszczenie raket średniego zasięgu w zachodniej Europie, ale „potępił” te rakiety w całej Europie.

Ostatnie miesiące to okres ożywionych dwustronnych stosunków grecko-bułgarskich. Kto wie, czy Rosja nie wyznacza Bułgarii roli Finlandii na Bałkanach. Wycofanie się Grecji z NATO w tak dziś irytującej całej świat strefie byłoby polityczną bombą o nieobliczalnym zasięgu. Entuzjastycznie powita to cały świat arabski, gdyż Izrael straciłby taktyczne oparcie na południowej flance NATO. Oczywiście byłoby to wrażenie czysto optyczne, ale polityka arabska nie grzeszy zbytnią dalekowzrocznością. Rosja, będąc pewna sympatii Bułgarów, może sobie na taki gest pozwolić.

Opinia polska, gdyby jej główną cechą nie była ignorancja i lekkomyślność, powinna się coraz bardziej niepokoić zmianami zachodzącymi w NRD.

Dla mnie osobiście podział Niemiec był tworem sztucznym i „fantem” obydwu stron, a nie trwałą koncepcją polityczno-narodowościową. Tendencje scalenia Niemców mają tysiącletnią

tradycję i zawsze były osią ich polityki prowadzonej pod różnymi sztandarami. Pruskie emblematy są pieczętami przecho- wywane w Bawarii, tej ongiś najbardziej antypruskiej części skła- dowej wszystkich Rzesz.

Poza normalnymi tendencjami, zrozumiałymi w każdym narodzie, przeciętny mieszkaniec wschodnich Niemiec łączy to z tęsknotą za dobrobytem, będącym udziałem jego załabskich rodaków. Jedni i drudzy Niemcy są realistami. Obecny rząd w Bonn o d ł o ż y ł do archiwum koncepcję Adenauera, ale z niej nie zrezygnował. Strausowska linia polityki Bonn jest zawsze jej drugą alternatywą.

Co nas powinno niepokoić, gdybyśmy mieli dostrzegać realia a nie symbole? NRD podnosi wrzask pod niebiosa, gdy tylko nota dyplomatyczna Bundesrepublik traktuje Niemcy jako całość.

Podejrzanie cicho siedzieli politycy NRD, gdy Bundestag przyjmował ustawę o patentach i cłach, o obszarze pocztowym i telegraficznym i podobnych „technicznych” przepisach.

NRD, najbardziej stalinowski i pryncypialny członek RWPG, postawiła mur w Berlinie i nie zauważa, że przez ten mur przenikają wszystkie zachodnioniemieckie licencje i patenty. W wy- robach enerdowskich udział licencji, a nie deklaracji ideowych wykazuje, że najbardziej komunistyczne państwo bloku wschod- niego jest największym udziałowcem firm zachodnioniemieckich. Dziś NRD jest technologiczną filią EWG.

W nocy z 12 na 13 grudnia, kiedy podoficerowie Jaruzel- skiego wyciągali z betów lokatora Belwederu, wymuszając na tym rumianym tłuścioszku rezygnację z pozorów pełnienia konsty- tucyjnej władzy, tej właśnie nocy toczyły się w Berlinie dziwne pertraktacje.

Opinia zachodnioniemiecka była oburzona na swego kancler- za, że nie opuścił demonstracyjnie wschodnich Niemiec. Zbyt wielkie interesy tej nocy załatwiano, by się przejmować nocą długich noży za Odrą. Zresztą wszystko to co ośmiesza, ogłupia, dezawuuje „lokatorów” za Odrą nie może być niemiłe panom, którzy w sprawach polityki rozmawiają językiem Goethego, Schillera...

W dwa dni później kilka dyrekcji „prywatnych” banków zachodnioniemieckich rozesłało instrukcję do swoich filii w No- wym Jorku, Tokio, Hong-Kongu, zalecającą wymianę wschodnich marek na każdą walutę.

No cóż, oparcie swojej komunistycznej waluty o najdroższy pieniądź świata kapitalistycznego dowodzi, że obydwaj partnerzy dobrze znają „Kapitał” Marksa.

Bez zrywania z rublem transferowym, bez długich i uciążliwych pertraktacji z Funduszem Monetarnym, wschodnia marka weszła w międzynarodowy obieg, rekomendowana lepiej niż złotem czy dolarem. Kto by się przejmował, że tej samej nocy paru członków „Solidarności” przeszło przez ścieżki zdrowia. Na własny rachunek obydwaj partnerzy berlińskiej konferencji nasze wydarzenia zdyskontowali, każdy na swój sposób. Honecker mógł udowodnić, że „rewizjonizm” nie popłaca, a Schmidt, że komunizm jest złym interesem dla wszystkich.

Enerdowska karta jest ciągle mocnym atutem w rękach graczy z Kremla. Kto wie, w jakim momencie położą ją na europejskim czy światowym stole gry. Propozycja wycofania pancernego szmelcu ze strefy między Odrą i Łabą, zaoranie paru nieczynnych lotnisk czy ostentacyjna hodowla pieczarek w kazamatach wyrzutni raketowych — to są wyjścia blotkami pod zachodnich partnerów. Mogą przebić, mogą przepuścić. A co będzie, jak następcy Breżniewa położą enerdowskiego waleta, by wyimpasować bońskiego króla z natowskich kart... Nas przy tej grze nie będzie.

Opinia krajów neutralnych w sprawie Polski będzie miała nieporównywalnie większe znaczenie niż rola i udział tych krajów w międzynarodowej polityce czy handlu zagranicznym. Dla Zachodu ta opinia będzie faryzeuszowską przykrywką decyzji dla nas nieprzychylnych, dla Wschodu usprawiedliwieniem decyzji okrutnych. Będzie to opinia „krajów neutralnych”, a więc bezstronnych, nie mających z Polską żadnych powiązań. Będzie to opinia dla nas wielce nieprzychylna.

Są dwa rodzaje krajów neutralnych. Finlandia i Austria, z neutralnością narzuconą traktatami dyktowanymi przez Rosję, w której znalazły sobie ciepłe miejsce i nie tęsknią do żadnych bloków.

Są kraje, które neutralność wybrały jako doktrynę polityczną i liczą, że konsekwentne jej realizowanie przyniesie im wymierne korzyści. Do nich należą przede wszystkim Szwecja, Szwajcaria i Jugosławia i mimo wszystko Dania z Norwegią. Oscylują ku tej koncepcji Grecja, Portugalia i Hiszpania.

Oscyluje ku tej koncepcji cały międzynarodowy polityczny blok europejskiej socjaldemokracji, a jego aktywność w ostatnim dwudziestoleciu wskazuje, że jest siłą realizującą dalekosiężną koncepcję polityczną.

Zgodnie z doktryną tych państw każde usamodzielnienie się jakiegoś z krajów spod dyktatu jednego z dwóch bloków trakto-

wane jest przychylnie i znajduje konkretną pomoc, tak w dziedzinie gospodarczej jak dyplomatycznej.

Minęła euforia Bandungu. Próba zorganizowania bloku „państw trzech” okazała się mirażem. Politykę państw neutralnych cechuje realizm. Państwa te nie dążą i nie popierają żadnych prób wyrwania się z któregoś z bloków. Nie montują instytucjonalnego własnego bloku. Z konieczności musiałyby wtedy zamienić swoją pokojową politykę na obronę pokoju z pozycji siły. Wzrost swego znaczenia widzą w popieraniu ruchów emancypacyjnych. Miła im jest każda samodzielna decyzja Rumunii na forum ONZ, jak i wyrwanie się Wenezueli spod panamerykańskiego dyktatu. Cieszy ich rozsądek Kanady w traktowaniu polityki Waszyngtonu, jak i każda lokalna akcja protestacyjna w Holandii przeciwko bombom atomowym.

Dla Szwecji, Szwajcarii a także Austrii Polska była zawsze krajem przyszłościowym, krajem, z którym wiązały wielkie nadzieje. Każdy krok ku usamodzielnieniu się Polski stwarzał szanse innym krajom w tym bloku. Fakt, że Polska jest dwakroć liczniejsza od każdego narodu, że ma surowce i energię pozwala liczyć, że współpraca z Polską będzie w naturalny sposób promieniowała na gospodarkę innych krajów. Powiem więcej, to legło u podstaw wielkich koncepcji gospodarczych Szwecji i... Szwajcarii.

Nasi intelektualiści nie potrafią oceniać faktów politycznych inaczej, jak tylko z not dyplomatycznych i protestów podobnych im grup intelektualnych. Nie chcę obrażać uszu, by wskazać miejsce, gdzie każdy autentyczny polityk trzyma podobne dokumenty i do czego ich używa.

W czasie najgorętszego momentu zimnej wojny Szwajcaria sprzedaje Polsce licencje na silniki okrętowe, finansuje wdrożenie tej licencji w kraju i zabezpiecza finansowo-serwisowo i technicznie tę operację w krajach trzech. Działo się to w momencie, kiedy Polska miała trudności z nabywaniem kawy i herbaty na potrzeby swojego rynku.

To nie była tylko demonstracja polityczna. Polski przemysł stoczniowy rokował wielkie nadzieje. W piętnaście lat później na silnikach Sulzera pływało ponad 60 % światowej floty, a serwis Sulzera opanował cały glob. Mała, absolutnie śródlądowa Szwajcaria zrewolucjonizowała napęd... morskiej gospodarki świata. Po udanej próbie z Polską Szwajcaria powtórzyła ten manewr z Hiszpanią, Norwegią, Brazylią. Pozostawiła w polu wszystkie tradycyjne kraje morskie z Anglią na czele. Dziś stocznie angielskie zamawiają „sulzery” do swoich statków u Cegielskiego. Jako

pouczającą anegdotkę przytoczę fakt, że Szwajcarzy, nie mogąc z powodu finansowej blokady demoludów odzyskać swoich dywidend, ułatwiali nam wywóz do krajów NATO kapusty i ogórków kwaszonych, artykułów nie objętych embargiem Waszyngtonu.

Dla Szwecji Polska była jeszcze atrakcyjniejszym partnerem niż dla Szwajcarii. Po pierwsze — południowy brzeg Bałtyku nie stanowił morskiej granicy silnego, uprzemysłowionego państwa niemieckiego. Brzeg ten po 1945 roku był morską granicą kraju rolniczego, potrzebującego jak powietrza współpracy z nowoczesnym krajem przemysłowym. Kraj ten, chociażby z powodu swoich doktryn politycznych, nikomu nie zagrażał. Unormowane stosunki z ZSSR odsuwały podejrzenie, że Polska poprzez te kontakty może „przechylić” się na stronę kapitalizmu. Kanały dyplomatyczne Sztokholmu stałe stały do naszej dyspozycji. Nie jest dziełem przypadku, że pierwszy ogólnościatowy ruch antyatomowy nosi nazwę „Apelu Sztokholmskiego”. Zdecydowanie antyatomowa postawa Szwedów była kartą gwarancyjną w oczach podejrzliwych polityków rosyjskich.

Na wołowej skórze mógłbym spisać inicjatywy szwedzkie nawiązania z Polską ściślej współpracy technicznej, gospodarczej, wspólnych działań inwestycyjnych itd., itd. Wszystkie te inicjatywy miały już w zarodku ogólny erwupegowski charakter.

Szwecja sprzedała nam licencje „Alfa-Level” na dojarki i postawiła do dyspozycji wszystkie licencje tej firmy w przemyśle mleczarskim.

Rany Boskie, Alfa-Level w Polsce. Wszystkie „krowie” republiki z Holandią, Danią, Irlandią na czele padają na twarz przed tą licencją. Wszystkie dojarki świata śnią, by Alfa-Level za nie wydoiła krowy. Polska zakupiła tę licencję i natychmiast wstrzymała produkcję z powodu braku... zbytu. To tylko dzięki znajomościom Kuśmierka we wrocławskim Archimedesie chłopci spod Suwałk mogli kupować dojarki bezpośrednio w fabryce. Ale Szwecja liczyła na ekspansję swojej Alfa-Level na kraje nadnadańskie, na Bałkany, a może i... nad Wołgę, a nie nad Wigry. Szwecja dba o swoją renomę, dba więc o serwis. Alfa-Level zakupiła w Polsce dwie „Nysy”, przebudowała je na swój koszt jako wozy serwisowe, dodała szwedzkich serwisowców i... skapitulowała. Szwedzi używali farb konserwacyjnych według potrzeb i nie mieścili się w limitach przyznawanych w Polsce na konserwację.

Nie chcę się rozdrabniać w irytujących szczegółach. Tak jak w gospodarce stoczniowej dla Szwajcarów, tak w gospodarce hodowlanej dla reszty Europy jesteśmy krajem przyszłościowym.

Wartość rynkowa wydojonego mleka przewyższa wartość wydobytanego węgla. Szwedzi są mistrzami marketingu. Znajomością potrzeb klientów i propozycjami rozwiązań ich kłopotów niwelują wysokie ceny za swe towary czy usługi. Szwedzcy dostawcy maszyn mleczarskich alarmowali, że Polska zmierza do deficytu własnej produkcji rolnej. Szwedzi doskonale znali ograniczenia narzucane przez „system”. Byli pierwszym krajem zachodnim, który nawiązał kontakty handlowe z ZSSR w roku 1918. Byli bezsilni wobec naszej narodowej indolencji...

Mieliśmy czym Szwedom płacić. To nie „Solidarność” sprawiła, że straciliśmy tradycyjne skandynawskie rynki zbytu. Już w 1976 roku obcięliśmy dostawy węgla do Danii i Finlandii, pograżając te kraje w zależność od USA. Skandynawowie, bo oni, nie tylko Szwedzi, będą formowali opinię o Polakach, nie mogli zrozumieć naszego intelektualnego marazmu, naszej lekko-myślności i nieodpowiedzialności.

Finlandia swoimi obrotami handlowymi ze Związkiem Sowieckim sięgającymi 40 % całego obrotu szukała stosunków z Polską celem zniwelowania przewagi Rosji nad swoją gospodarką. Szukała z nami długoletnich umów na rozwój energetyki, na wspólny rozwój przemysłu miedziowego, a przede wszystkim na wielką współpracę w przemyśle celulozowym. Za tymi propozycjami szły ich mądre i ostrożne gwarancje kredytowe. Zostało to zignorowane przez Gomułkę i z pogardą odrzucone przez Gierka.

Ten dosłowny napór propozycji ze strony szwedzkiej a za nią całej Skandynawii na polski rynek ma jeszcze inne, jakże ważne uzasadnienie.

Skandynawia nie chciała początkowo łączyć się z rynkiem EWG jako zbyt „natowskim”, zbyt związanym z blokiem atlantyckim. Przekreślałoby to jej doktrynę politycznej neutralności.

Szwecja wraz z Anglią była inicjatorką luźniejszej współpracy, zwanej EFTA. Do związku tego należały początkowo Austria, Norwegia, Dania, Grecja, Hiszpania, Szwajcaria, Anglia, Irlandia i Szwecja. Po „zdradzie” Anglii Irlandia i Dania nie miały innego wyjścia, jak tylko przyłączyć się do „Traktatu Rzymskiego”. Pozostałe kraje, ze Szwecją na czele, mając przed sobą mur celny coraz ekskluzywniejszej „Europy bogatych”, jak powietrza szukały kontaktów z demoludami. Kontakty te ważne były nie tylko z przyczyn finansowych czy handlowych. Socjaldemokracja zachodnia pichciła w Brukseli warianty przewrotów w Hiszpanii i w Portugalii. Warunkiem powodzenia tych przewrotów była neutralność ZSSR i jej powstrzymanie się od „frontów

wyzwolenia narodowego” w tych krajach. Było to o tyle łatwiejsze, że komuniści hiszpańscy bali się jak ognia sojuszu z Moskwą.

Wiadomo było, że ani Hiszpania, ani Portugalia po przewrotach nie będą mogły od razu wejść do EWG czy Hiszpania nawet do NATO. Zarysowywała się perspektywa rozszerzenia kręgu państw neutralnych o kolejne kraje. Chodziło teraz o wciągnięcie ich w taką orbitę współpracy przemysłowej, by nie stanęły przed alternatywą albo „bazy za kredyty”, albo totalna izolacja.

Tak tak, panowie z Talmelu, Dolmelu i Stoczni Szczecińskiej! Jak się zawierało umowy z Grecją, Jugosławią i Hiszpanią, to trzeba było czytać prasę socjalistyczną na Zachodzie, a nie robić w majtki przed Korpikiewiczem, instruktorem Wydziału Przemysłu Ciężkiego w KC. Czy teraz w związku z awanturą o „gazociąg syberyjski” widzicie, jakiego mieliście rekina w rękę w postaci budowy sześciu gazowców transatlantyckich na norweskiej licencji z możliwością przedłużenia tej serii na stocznie hiszpańskie? Reagan by się wam w pas kłaniał, Gromyko ręce ścisnął, a wy byście mogli odcinać kupony od „naszej” polityki neutralności. Te gazowce miały wzmocnienia przeciwlodowe i mogłyby transportować gaz z portów Oceanu Lodowatego wprost do Bordeaux.

Wśród propozycji polsko-skandynawskiej współpracy ostatniego dziesięciolecia wymienię dwa przykłady. Szwecja może wywozić swoją rudę przez porty Zatoki Botnickiej, ładując ją wprost z wózków górniczych do ładowni statków lub przez port Narvik. Zatoka Botnicka jest praktycznie żeglowna przez sześć miesięcy w roku. Szwedzi proponowali wybudowanie własnym kosztem w Świnoujściu portu-składu konsygnacyjnego dla swoich rud. Stąd ruda byłaby ekspediowana koleją bądź barkami do zagłębia Ruhry, Belgii, Holandii, a nawet Francji. Stąd Polska mogła czerpać rudę dla swojego hutnictwa jako tenutę dzierzawaną i opłatę za usługi portowo-tranzytowe. Stąd mogliby brać rudę Czesi czy nawet Węgrzy. W przypadku tej oferty Szwedzi mówili już wprost: „To was uniezależni od dyktatu dostaw rudy sowieckiej”.

To nieprawda, że Moskwa storpedowała tę ofertę. Każde szwedzkie wejście z rudą na rynek „atlantycki” było Rosji na rękę. Oferta kołatała się wśród różnych naszych ekspertów, Francuzi wybudowali Szwedom podobny skład w Dunkierce. Gdybyśmy mieli taki szwedzki skład konsygnacyjny na swoim terytorium, to jeden skrawek Rzeczypospolitej nie bałby się interwencji rosyjskich czołgów. Rosja już niedwuznacznie mówiła o ograniczeniu dostaw swojej rudy do Polski. Wyraźnie to po-

wiedziała wicepremierowi Wirowskiemu, gdy ten na jesieni 1979 roku błagał Rosjan o każdą dodatkową tonę rudy. Rosja też nie chce być krajem surowcowym.

Drugim takim projektem było „B-T-B-A”. Wielki szlak komunikacyjny biorący swój początek z portów skandynawskich, promami przecinający Bałtyk poprzez Polskę na drugi bok kontynentu do Adriatyku, Morza Egejskiego, nad Morze Czarne. Wielce zainteresowani byli tym projektem Włosi, bo szlak ten ożywił martwy dla nich Triest, czyniąc go portem transkontynentalnym. Na trasę tę stawiał Wiedeń, Ateny, szedł na rękę bardzo zainteresowanym Rumunom i Bułgarom. Otwierał nowe drogi turystyczne do Jugosławii, ale przede wszystkim potrzebny był Szwecji. Szlak ten omijał barierę celną EWG. Mogliśmy uzyskać kredyty Międzynarodowego Banku Rozwoju. Szwedzi chcieli partycypować w jego budowie. Organizowano konferencje międzynarodowe w Trieście, nad Bałatonem, w Wiedniu i w Świnoujściu. Pod to przedsięwzięcie wybudowano „Forum” w Warszawie, a Finowie wraz z Arabią Saudyjską (!!!) hotel we Wrocławiu. Tylko Polska jako przedstawiciela do „B-T-B-A” desygnowała dyrektora Instytutu Turystyki. Mocny człowiek. Kto go zna, ten rozumie, dlaczego tranzyt skandynawski skierował się na Sassnitz, a my jesteśmy zmuszeni sprzedać nasze promy za cenę złomu.

Te sześć promów to perspektywa odbudowy tej koncepcji w przyszłości, chociażby w szczątkowej formie. Można by je ratować organizując wycieczki Czechów, Węgrów do Leningradu. Kto ma to zorganizować? Komisarz wojenny Orbisu? Kiedy tekst ten zdąży się upowszechnić, promy będą już sprzedane, a nasze interesy zostaną wymiecione z Bałtyku.

Szwecja a za nią cała Skandynawia były autentycznie i szczerze zainteresowane „planem Rapackiego” i „planem Gomułki”. Dania i Norwegia, formalnie należące do NATO, do dziś nie zezwalają Amerykanom na stacjonowanie okrętów atomowych. Szwedom obca jest doktrynerska argumentacja pokojowa. Doskonale zdają sobie sprawę, że na obszary, na których swobodnie operują specjaliści od dolarów czy rubli, wsunie się zakamuflowany „ekspert od rakiet”. Szwedom nie zależało na deklaracji „czyste” dezatomizacji stref. Chodziło im o stworzenie względnie samodzielnej strefy ekonomicznej. Oczywiście silnej strefy, nie ulegającej tak łatwo naciskom czy blokadom, technicznie atrakcyjnej i „pokupnej” nie tylko jako zorganizowany producent znormalizowanych towarów. Skandynawom a także Jugosłowianom i Austriakom chodziło o wypracowanie modelu takiej współ-

pracy, która byłaby organizmem samoobronnym przed hegemonią każdego silniejszego sąsiada. Dlatego też traktowali deklaracje Rapackiego jako tromtadrackie wysoki Polaków, którzy chcą, by się o nich dużo mówiło.

Po pierwszych wyrażonych nadziejach współpracy z Polską, jakie stwarzał Gierek, Skandynawowie należeli też do pierwszych, którzy wyziębili z nim stosunki. Po ofensywie na Polskę Beijerinvest, firmy o globalnym zasięgu, rekomendacji, dzięki której Polska mogła wejść na rynki afrykańskie i latynoskie zorientowali się, że Gierek i jego ekipa to tacy sami prowincjonalni politykierzy jak Gomułka z Kliszką. Warszawskie ćwoki i śląskie ciule nie byli partnerami dla skandynawskich polityków, którzy od kilkudziesięciu lat „z urzędu” zasiadają w międzynarodowych organizacjach o pokojowym czy ogólnoludzkim charakterze. Przypomnijmy sobie kraj pochodzenia dwóch pierwszych sekretarzy ONZ. Sztokholm był pierwszą stolicą, która odmówiła Gierkowi pożyczki w jego żebrackich podróżach po krajach europejskich. Jeden Kreisky w Wiedniu dał się naciągać Jaroszewiczowi a nawet Babiuchowi, któremu w maju 1980 (!!!) pożyczyl 360 milionów dolarów, by Gierek miał za co spędzić ostatni urlop na Krymie.

Po roku 1975 Skandynawowie wyraźnie już zrezygnowali z polskiego rynku i przenieśli swoje zainteresowania na Rumunię i Węgry, zawierając z nimi umowy kooperacyjne. Volvo buduje swoje zakłady w Rumunii, a Ikarus wszedł we współpracę z koncernem „Scania”. Takie firmy jak Atlas-Copco, Assa, wspomniana Alfa-Level, Bajjer Trading, Kochums — to była obrona przed rublem transferowym i tworzenie dla nas rynków większych niż Podlasie czy Kujawy. Szwedzka jakość równa japońskiej, ich wspaniały marketing, ich sztandarowa neutralność w połączeniu z polskimi możliwościami dawały Europie wschodniej szanse atrakcyjności na całym świecie i niebywałej ekspansji na rynek ZSSR. Skandynawom zależało, i to bardzo, by Polska była partnerem ZSSR a nie satelitą. Zyskiwałyby na tym skandynawska koncepcja neutralności.

W polityce międzynarodowej nie oddziela się dobrych intencji społeczeństw od wariactw politycznych ich przywódców. Faktem jest, że Polacy przez dwadzieścia lat nie potrafili wywrzeć nacisku na swe kierownicze koła, by uczynić je rozsądniejszymi. Udało się to Węgrom, Rumunom i Czechosłowakom, będącym w gorszej sytuacji niż Polska.

Szwedom ani też innym krajom neutralnym nie zależy, by jakikolwiek kraj „wyszedł” ze swych układów. Zależało im

zawsze na umacnianiu tych krajów w niezależności. Toteż Szwedzi a za nimi Austriacy są najbardziej zaniepokojeni sytuacją w Polsce po sierpniu 80, Szwecja jako kraj o najstarszych tradycjach związkowych, o najlepiej rozbudowanych kooperatywach w ruchu spółdzielczym gotowa była służyć „Solidarności” instruktażem, jak buduje się związki zawodowe, jak wmontowuje się je w system zarządzania państwem. Szwedzi traktowali jako mrzonki wszechogarniające hasła „Solidarności”, ale też jako krańcową głupotę głoszoną przez Rakowskiego ideę związków apolitycznych. Szwecja i Austria z wielką rezerwą odnosiły się do „Solidarności”, a tym samym i do Polaków. Zrażała ich nasza niezdołność do wyartykułowania konkretnego programu, który by można było konsekwentnie popierać lub nawet bronić przed agresywnością rosyjskiego dogmatyzmu. Nie zapominajmy, że to socjaldemokraci skandynawscy kształtują opinie socjalistycznej Międzynarodówki. To jest bardzo ważne. Nie ma kraju, w którym socjaldemokracja nie byłaby partią rządzącą lub współrządzącą. We Włoszech wcześniej czy później dojdzie do wielkiej koalicji. Tak więc skandynawskie widzenie spraw polskich jest centralną częścią obrazu widzianego przez polityków europejskich. Nie Waszyngton i nie Moskwa będą im podpowiadały, co na tym obrazie jest najważniejsze.

W oczach narodów całej Europy, a szczególnie narodów sąsiadujących z nami Polacy są jedynym n a r o d e m i jedynym p a ń s t w e m, które wygrało wojnę 1939-1945. „Wygraliśmy” tę wojnę nie tylko dla siebie, ale dla całej Europy. To Polska przez odjęcie Niemcom ziem nad Odrą tak osłabiła niemieckiego hegemonia, że z groźnego dla wszystkich *Deutschland über alles* stał się normalnym członkiem EWG.

W oczach Europy pokonanie Niemiec i korzyści stąd wynikające dawały nam szansę uregulowania stosunków z Rosją, tej naszej tragedii i źródła niepokoju moralnych całej Europy. W oczach Europy i Rosja utraciła szansę nawiązania antypolskiej koalicji z Prusami czy Austrią, czym nas tak skutecznie gnębiła od czasów Piotra Wielkiego. Socjaldemokratycznego Wiednia czy ewugowskiego Bonn to my się tak bać nie musimy, jak chce nam to wmówić z trybuny sejmowej Ryszard Wojna. Poczdam 45 przekreślił skutki traktatu Ołomunieckiego. Dawał nam wreszcie to, czego nie wykorzystaliśmy po Grunwaldzie i po Pokoju Toruńskim.

W oczach narodów Europy Poczdam 45 czynił nas dzieckiem szczęścia, beniaminkiem historii.

Jestem reporterem a nie historiozofem czy narodowym mo-

ralistą. Chciałem krzyknąć: „Polacy, obudźmy się wreszcie jako społeczeństwo europejskie!”.

Rumuni w ciągu dwóch wieków trzykrotnie tracili Mołdawię i Besarabię, która odpadła od nich w 1812, 1939 i ostatecznie 1945 roku. W samym centrum swego obecnego państwa mają „problem Siedmiogrodu”.

Bułgaria utraciła Dobrudżę i ma „nierozwiązalny” problem macedoński.

Węgrzy mają pretensje do wszystkich za Banat, Kluż i Nitrę.

Czeši utracili Ruś bez żadnej rekompensaty, a w ramach internacjonalizmu nie mogą rozładować swych antywęgierskich namiętności nad węgierską, bardzo aktywną mniejszością w Słowacji.

Każdy z tych narodów uważa, że coś stracił nic nie zyskując.

Chciałbym krzyknąć i uważam, że myślę „po polsku”, bo wreszcie z przedmurza Europy wracając nad Odrę wracamy do Europy. I w tej roli chcą nas widzieć nasi sąsiedzi.

W Bukareszcie, Budapeszcie, Pradze, Sztokholmie i Wiedniu możemy realistycznie rozmawiać o doktrynalnym zagrożeniu satelitarnych układów. Od czasów gdy komuniści włoscy, hiszpańscy i duńscy ostentacyjnie nie poparli najazdu na Pragę 1968 roku twórcza dyskusja na temat roli kompartii w społeczeństwach staje się dziejową koniecznością. Wszyscy są gotowi z Polakami dyskutować. Boją się jednak, byśmy nie wciągnęli ich w nasze antykapuskie kompleksy. Te urazy są dla tych społeczeństw niezrozumiałe i nieczytelne. Jeżeli tego problemu nie uregulujemy w naszej psychice, jeżeli nie dokonamy do końca bolesnych ale koniecznych przewartościowań, nikt z nami w rozmowach nie będzie ani szczerzy, ani lojalny.

Jesteśmy pełni pogardy dla Rumunów, Węgrów, Czechów. Nie dostrzegamy jednak, że kraje te zreformowały się daleko głębiej niż my. Czyż nie rozumiemy, że po swych wstrząsach Węgry Kadara poszły daleko dalej niż Gomułka, a Czeši Strougała daleko dalej niż Gierek?

Zrażamy wszystkich naszym pienieniem się, po którym nie pozostaje śladu. Nasze WOG-i bardziej interesowały Czechów czy Szwedów niż deklamacje KOR-u czy KPN.

Przerażenie ogarnia mnie, gdy widzę swoich przyjaciół z wyiekami na twarzy, szepczących konspiracyjnie, że w Bukareszcie, w Pradze też coś się dzieje i że „u nich też się wali”. Głupcy, bezdenni głupcy. Czyż nie zdają sobie sprawy, że Moskwa, widząc w „Gdańsku” początek reakcji łańcuchowej, wkroczy brutalniej niż w Budapeszcie i Pradze? Wkroczy do Sofii

i do Belgradu, a w Radzie Bezpieczeństwa przedstawi rachunek, że to są jej „wewnętrzne sprawy”. Nie będą nas wtedy kochali w tych krajach, tak jak nie kochają za to, że Moskwa już im dyktuje wysokość kwot, jakie mają wpłacać na ratowanie Polski.

W trakcie pisania tego tekstu prezydent Mitterrand natychmiast po wersalskim szczycie wyjechał z oficjalną wizytą do Wiednia, a stamtąd już mniej oficjalnie wybrał się do Bukaresztu i Budapesztu. Kierownictwo Francuskiej Partii Komunistycznej — partii koalicyjnej w rządzie Mitterranda — przybyło do Pragi. Wczoraj 3 lipca do Pragi przybył „prywatnie” Nixon i pierwszego dnia został przyjęty przez Strougala. Jaka może być opinia w stolicach tych państw o sytuacji w Polsce i kierunkach jej rozwoju? Przede wszystkim, że PZPR w swej obecnej postaci nie jest już w stanie wytworzyć czy nawet upozorować siły zdolnej do kontynuowania „przewodniej roli”. Jest to dla kierownictw bratniej partii stwierdzenie bardzo smutne, ale w oczach sąsiednich stolic PZPR zblamowała się ostatecznie i jest skończona. Muszą się odciąć od PZPR jako struktury niereformowalnej. Same chcą wypaść jak najlepiej w oczach swych zachodnich rozmówców, rozwiać podejrzenia, że mogą podzielić los Gomułki czy Gierka. Ich własna sytuacja gospodarcza jest bardzo napięta. Narzucone przez Rosję limity pomocy Polsce jeszcze ją pogarszają. Dochodzą do tego skutki zerwania czy chociażby ograniczenia dostaw wynikających z wieloletnich umów z Polską.

W tych krajach nie mają za co kochać kierownictwa PZPR i być dla jej błędów wyrozumiałym.

Przez dwadzieścia lat, od Gomułki, PZPR była satelitą numer jeden Chruszczowa a później Breżniewa. Gomułka przy Chruszczowie był doktrynalnym Savonarolą, co tak bardzo oziębiło jego stosunki z Tito, który zacieśniał swoje kontakty z Rumunią i Węgrami. Gomułka był najaktywniejszym rzecznikiem pronaserosowskiej polityki demoludów, w swej zaciekłości nadając jej antysemitki zapaszek. Pierwszy i najostrzej potępił maoizm w momencie, kiedy Belgrad i Bukareszt zacieśniały stosunki z Pekinem, wizytując się nawzajem na najwyższych szczeblach. Na posiedzeniach RWPG, co jest tajemnicą poliszynelem, rosyjscy delegaci musieli tuszować nieprzyjemne wrażenie wywoływane nadgorliwymi, prosowieckimi wystąpieniami Jaroszewicza, stałego przedstawiciela Gomułki w RWPG a później samodzielnego rzecznika swojej własnej koncepcji.

Kierownictwa wszystkich partii jak największej tajemnicy strzegły przed własnymi narodami swych personalnych powiązań

i uzależnienia od Moskwy. Można by nawet podejrzewać, że w aparatach propagandy tych partii istniały komórki do rozpowszechniania konfidenjalnych informacji, że ten i ów z członków kierownictwa lub całe kierownictwo jest w Moskwie nieprzychylnie traktowane. Takie informacje podnosiły jego autorytet w oczach społeczeństwa, czyniły go autentycznym i wiarygodnym politykiem. Tamci przywódcy traktowali „przyjaźń” ze Związkiem Sowieckim jako polityczne *status quo* wiążące sytuację ich narodów, ale nie ich osobiste losy.

W polityce PZPR lansowano półoficjalnie plotki, kto jest „człowiekiem Moskwy nr 1”, kto jest jej „zaufanym”, kto jest w oczach Moskwy „nie do wyjęcia” lub kto jest przewidywany przez Moskwę na „następcę”. Wizyty Moczara, Olszowskiego, składy i układy poszczególnych delegacji pozwalały na totolotkowe typowanie czy układanie „trypli” lub „porządków”. Czy mam przytaczać znaną wszystkim listę nazwisk „ludzi Moskwy”, którzy rządzą krajem jak własnym folwarkiem i nikt nie próbował sprawdzić, czy taki Kliszko, Babiuch, Wrzaszczyk był autentycznym emisariuszem Kremla?

Otóż takie „zasady polityki władców” zostały przez wszystkie demoludy poza Warszawą szczerze lub też z taktycznych powodów zarzucone.

Negatywna selekcja tocząca strukturę PZPR od lat i borodowska [?] polityka wykaszenia następców stosowana przez Gierka, Olszowskiego i Babiucha stawia wszystkich rozmówców w głupiej sytuacji. Wiadomo, że wysłannicy Zachodu penetrują, jakie nazwiska w opinii Bukaresztu czy Pragi należałoby w Warszawie lansować, aby były one przez tamte stolice zaakceptowane. Jaruzelski nie wchodzi w rachubę, bo nie stworzył własnej ekipy, nie potrafił zrobić tego, co Gomułka czy Gierek rozpoczynający swój etap rządów od ostentacyjnego odsunięcia trzonu starej ekipy. Nie potrafił lub też nie chciał zohydzić poprzedniej ekipy, jak to wyśmienicie zrobił Gomułka a po nim Gierek, zdobywając tym krótkotrwałą wiarygodność. Jaruzelski nie może tego zrobić, gdyż był trwałym filarem obu ekip. Legendy o zamykaniu w areszcie, rozsiewane przez Sztab Generalny, wystawiają mu świadectwo niezorientowanego ciuła, a nie męża stanu. Niezdecydowanie w czasie wypadków bydgoskich, w które go jeszcze dodatkowo Rakowski ufajdał publicznym stwierdzeniem, że to oni wydali rozkaz wybijania zębów Rulewskiemu, nie wystawia mu świadectwa europejskiego Pinocheta czy nawet drugiego generała Boulangerera. Nie ma on też przy sobie gwardii oasowskiej, bo ZOMO to jest tylko brutalna siła bez żadnego

zabarwienia ideologicznego, chociażby na wzór SS w jej pierwszym okresie. Trzeba byłoby sobie zdawali sprawę, że mimo wszystkich doktrynalnych ograniczeń przywódcy partyjni naszych sąsiadów są już ludźmi wyrobionymi politycznie.

Przez pół roku można wygrać niejedną kampanię wojenną, można wygrać całą wojnę, a już na pewno można umówić się co do celów tej wojny. Nie wyprowadza się w pole czterystutysięcznej armii, piechoty, wojsk pancernych, lotnictwa i marynarki, nie wprowadza się do służb cywilnych wielotysięcznej armii generałów, pułkowników, majorów w charakterze komisarzy, sekretarzy, wojewodów, nie powołuje się wreszcie trzykrotnie liczniejszej niż w bitwie nad Bzurą terrorystycznej formacji SB i ZOMO, by... powołać OKON. Na razie komitety ocalenia narodowego pielęgnują trawniki w osiedlach i dbają o czystość w żłobkach. Do powołania OKON-u wystarczyłoby paru umundurowanych spikerów w telewizji i te kilkanaście tysięcy talonów na Syrenki, które się aktywistom OKON-u rozdaje jako premie. W oczach przywódców partyjnych naszych sąsiadów bardzo niefortunne są polityczne sformułowania Barcikowskiego, Olszowskiego, Rakowskiego, że „stan wojenny służy do umocnienia roli partii i uwiarygodnienia jej działania”. Takie wyznanie wiary może uczynić lokalny gangster umacniający swą władzę w bocznej uliczce w oparciu o wiernych mu rewolwerowców. Do tego nie można się przyznawać wśród stutrzydziestomilionowego bloku narodów (bez ZSSR) rządzonych na zbliżonych zasadach. Mimo nadludzkich wysiłków zrzucenia winy za bałagan w Polsce na Kuronia, Modzelewskiego i Jasia Lityńskiego, nie uda się ukryć faktu, że to rządy PZPR doprowadziły do kryzysu, a przeciwną stroną w tym kryzysie jest zdeteminowana klasa robotnicza. Przyznawanie się do przyjacielskich stosunków z PZPR nikomu nie wystawia dobrego świadectwa. W oczach Mitterranda, francuskich komunistów i Nixona przywódcy naszych sąsiadów będą chcieli wypaść jak najlepiej i na pewno ujawnią część dokumentów, że byli już dawniej „przeciwko”. Muszą się przecież liczyć także z opiniami własnych społeczeństw... i kredytami Zachodu.

Nawet w Moskwie zdają sobie sprawę, że popierali i popierają nieudolnych kretyńców. Obodowski to nie Drucki-Lubecki, a Nowosilcow w małym palcu miał więcej niż Rakowski w głowie. Na kiwnięcie palcem Nowosilcowa truchlała cała arystokracja Królestwa, a komu może pokiwać Rakowski?

Gospodarczo-polityczny *establishment* demoludów też nie ma powodów, by kochać Polskę. Przy swoim upadającym serwiliz-

mie, zwierzęcym strachu przed Rosją polski *establishment* gospodarczy robił wszystko, by utrudnić sytuację swym klasowym czy grupowym odpowiednikom w ich krajach. Nasza polityka licencyjna sabotowała ich własne wysiłki. Nasze zadłużenie już od roku 1977 skomplikowało politykę kredytową Węgier i Czechosłowacji. Oddaliło o rok wejście forinta do Międzynarodowego Funduszu Monetarnego i uniemożliwiło podobny manewr korony czeskiej na wiele lat. To *establishment*'y tworzyły siły nacisku. Żaden z dyrektorów średniego przedsiębiorstwa na Węgrzech, w Rumunii czy w Czechosłowacji nie jest tak poniewierany, tak lokajsko uzależniony a przede wszystkim tak niepewny swego losu jak resortowy minister czy dyrektor zjednoczenia w Polsce. I żaden z kolegów czeskich czy węgierskich nie zgodziłby się na rolę ślepego narzędzia czy konfidenta wobec własnej załogi. Ta opinia *establishment*'u będzie miała fatalne skutki dla przyszłości naszego kraju. To oni będą formułowali poglądy i decyzje jak Polsce pomagać, w czym pomagać i... czy warto pomagać. Sami są zatrwożeni, że krach Polski ściągnie na nich samych i zaostrzy kontrolę sowieckiego sojusznika. Obawiają się, i nie bez racji, że kontrola ta zmusi ich do ograniczenia lub nawet wycofania się z tych reform, które na własny rachunek przeprowadzili w zarządzanych przez siebie dziedzinach. Kryzys polski zaktywizował te elementy, które krytykowały ich własne metody działania, a wiadomo, że żaden *establishment* nie lubi być przez nikogo przynaglany do reform. Konieczność pomagania Polsce zmusza ich do zrezygnowania z wielu własnych zamierzeń, a nikt nie lubi tłumaczyć się z niedotrzymania obietnic, chociażby one wynikały z przyczyn zewnętrznych i obiektywnych. Nasze koła gospodarcze tak ostentacyjnie odcinały się od współpracy z sąsiadami, że nasza katastrofa ich zaskoczyła.

Nasz polski narodowy kryzys poniżył nas w oczach szarego człowieka Pragi, Berlina i Budapesztu.

Ten „szary człowiek” nie szuka uwarunkowań naszego upadku jako ofiary komunizmu. Te „ofiary” zaczęły od oczyszczenia z towarów sklepów Berlina, Drezna, a następnie Cieszyna, Morawskiej Ostrawy, Litomierzyc. Nikt tego nie lubi.

Nawet kręgi opozycyjne tych krajów nie mogą mieć do nas sympatii za bezkonstruktywność naszych wybuchów. Okazuje się, że kraj tak ostentacyjnie religijny nie jest w stanie wyłonić z siebie chadeckiego programu. Nikt nie spodziewa się takiego programu od licencjonowanych katolików w Sejmie, ostemplowanych nieaktualną pieczęcią FJN. A czas nagli. Ulice tych wszyst-

kich stolic są coraz bardziej zirytowane. Ich telewizja regularnie pokazuje pociągi, sznury samochodów z darami dla głodującej Polski. Sytuacją w Polsce Bukareszt usprawiedliwił swoje ostre zarządzenia ograniczające wewnętrzną konsumpcję. Pomocą dla Polski koła kierownicze tych krajów pokrywają niedostatki swych własnych systemów. Ulica w to wierzy. Te nastroje obciążają nie Babiucha, Pińkowskiego czy Jaruzelskiego. Stajemy się społeczeństwem irytującym naszych sąsiadów, zwalającym na ich barki koszty własnego nedorajstwa. To są groźne objawy. O kryzysie polskim wiadomo im było już od 1978 roku. Najlepszą informacją o sytuacji w Polsce było gorączkowe wykupywanie towarów żywnościowych przez turystów polskich. Jeżeli polski sierpień przyjęli nawet życzliwie, to potem ta życzliwość zamieniła się w zawód. To tylko my możemy siebie usprawiedliwiać, że półtora roku to było bardzo mało, żeby odrobić 35-letnie zaległości. Pamiętajmy, jakie na nas ciąży historyczne brzemię. Jesteśmy narodem, który po raz drugi tak totalnie bankrutuje. W rozmiarach obecnego bankructwa lepiej orientuje się cała Europa niż my sami. Przy wszystkich zastrzeżeniach do komunistycznych rządów tylko nasz rząd doprowadził do głodu, braku lekarstw, mydła, mleka. Rumunia nawet po poważnym trzęsieniu ziemi nie wymagała takiej pomocy, jak my. Będąc tak śmiertelnie zagrożeni, jak wypadamy w oczach najbliższych sąsiadów i całej Europy ze swoimi protestacyjnymi głódówkami, listami intelektualistów i handryczeniem się z Obodowskim, ile rowerów wyprodukujemy czy nie wyprodukujemy w wolne soboty?

Półtora roku to bardzo długi okres, a w chwilach narodowych zagrożeń to cała epoka. Po 11 listopada 1918 roku w trzynaście tygodni potrafiliśmy wybrać i ukonstytuować sejm, a w półtora roku był on już w połowie prac nad konstytucją. Była szalejąca wojna, nieustalone granice, stutrzydziestoletnia przerwa w państwowości. Był głód i naprawdę nie było „ładu i porządku”. Przez piętnaście miesięcy ani partia, ani żadna grupa technokratów, ani elita intelektualna, ani koła klerykalne, ani robotnicy nie potrafili sformułować czy zarysować programu ratunku.

Nasz przemysł jest bezkarnie rozgrabiany. Nie mamy rezerw na przetrzymanie. Rozpada się ostatnia pracująca gałąź produkcji — rolnictwo. Szantaż i strach stały się jedynym objawem „życia politycznego”, a bierność jedyną formą jego akceptacji. Czas pracuje przeciwko nam, a my go marnujemy.

Przez te półtora roku nawet nie potrafiono wskazać winnych

tak haniebną katastrofą jednego narodu i poważnych komplikacji dla sześciu pozostałych.

Teraz już nie ma Gierka i nie Jaruzelskiego opinia sąsiadów wini za sytuację w Polsce. Obwinieni jesteśmy o gnuśność, polityczną martwość, o tromtadactwo i brak odpowiedzialności. Jesteśmy narodem wszechstronnie nieudolnym i swoją nieudolnością irytujemy wszystkich.

Gdy pisałem ten tekst, jak memento rozgrywała się tragedia w Libanie. Na oczach światowej opinii, w samym centrum arabskiego świata z jego ligami i islamską solidarnością, pod boki arabskiego korpusu trwa ostateczna likwidacja problemu palestyńskiego. Milczy Komitet Obrońców Pokoju, Ligi Praw Człowieka, milczą sojusznicy. Pod ambasadami rozgrywają się tragifarsy solidarności.

My nie Palestyńczycy, Polska to nie Liban. Los narodu, który wszystkim sprawia kłopoty, który wszystkich naraża na wyrzuty sumienia, a któremu nie bardzo wiadomo jak pomóc, staje się w końcu tak obojętny, że z ulgą przyjmą jakiegokolwiek jego rozwiązanie. Nie zapominajmy o depeszy „spokój panuje w Warszawie”. Zadowoliliła wszystkich.

Autorzy raportu DiP-u rozpatrując sytuację Polski na tle sytuacji międzynarodowej traktują nasz biedny, zbankrutowany kraj jako punkt centralny wszystkiego, co się na globie dzieje, dzieje i dzieć będzie.

To, że nie zauważyli Czech, Węgier, Bułgarii — można wytłumaczyć naszym narodowym zarozumiałstwem. Ale dlaczego nie dostrzegają Francji, Włoch, Niemiec? Przecież te kraje też prowadzą jakąś swoją politykę i ich punkt widzenia może wpływać na decyzje Stanów Zjednoczonych czy ZSSR, co wreszcie z nami zrobić. Przeniesienie własnych sił było powodem zguby niejednego kraju.

Jesteśmy krajem europejskim i po 1945 roku bardziej zachodnim niż wschodnim. Przy wszystkich sprzecznościach targających Europą prowadziła ona jakąś politykę europejską i prowadzić ją będzie nadal.

Europa zachodnia, aby wytrzymać konkurencję amerykańską i japońską, musi rozwijać współpracę gospodarczą z Rosją. Europa zachodnia przy wszystkich objawach dobrobytu bankrutuje z powodu braku źródeł surowców i kurczenia się rynków zbytu, a przede wszystkim rynków inwestycyjnych. Przy wszystkich wybuchach *boom*'u i recesji Europa coraz bardziej traci, ale świat — i w tym jest może jakiś paradoks — źle by się czuł, gdyby zabrakło polityki europejskiej.

Absolutną rację miał największy wizjoner naszych czasów de Gaulle mówiąc o Europie od Atlantyku po Ural. Tylko ośły polityczne tak po jednej jak i drugiej stronie widziały w tym chęć reaktywowania polityki Hitlera, albo dostrzegały w de Gaulle'u kryptokomunistę.

Ostatni kryzys energetyczny, który przechodzi w zjawisko stałe, wykazał jak słaba jest cała Europa.

W okresie taniej energii Europa mogła sobie pozwolić nawet na wojnę z dolarem, na zamknięcie swoich giełd i zawieszenie wymiany dolara. By ratować dolara i podtrzymać swojego sojusznika Nixona Breżniew uruchomił złoty most powietrzny między swoim skarbcem a Fort Knox w zamian za nieograniczone dostawy zboża z Nowego Orleanu do Noworosyjska. Bank Stanów Zjednoczonych mógł formalnie przywrócić wymianę złota za dolary i utrzymać supremację swojej waluty w świecie finansowym Zachodu. Nie bez pokrycia były oskarżenia Pekinu o zмовie dwóch tygrysów, aby rządzić światem.

Kolejny kryzys sueski i paniczny wzrost cen ropy naftowej udowodnił Europie, jak niewiele znaczy bez własnych zorganizowanych źródeł energii a także i surowców. Z kolei petro-dolar zaczął wypłukiwać gospodarkę europejską z jej rezerw. Teraz pojawił się karbodolar. Wybiegając trochę naprzód — naiwnością jest oskarżać Kuronia, że w zмовie z CIA i rekinami amerykańskiego kapitału, strajkami osłabiając nasz przemysł węglowy, chce Europę podporządkować dyktatowi Stanów Zjednoczonych.

Jeszcze prezydent Ford, a następnie przez całą swoją kadencję prezydent Carter, a więc grubo wcześniej niż telewizja warszawska wplątała Kuronia i Michnika w politykę światową, przekształcili kosmiczny zespół NASSA w sztab kierujący ekspansją amerykańskiego węgla. Tak jak w wypadku lotów na księżyc sztab ten będzie pracował tak długo, aż osiągnie swoje cele, wszystko jedno, czy Kuroń będzie „współpracował” z „Wolną Europą” czy z DTV. Cały ten akapit dedykuję wszystkim tym, którzy pozostali jeszcze wrażliwi na ekonomiczną argumentację Telewizji Polskiej.

Europa musi się bronić przed zaplanowaną wcześniej ekspansją amerykańskiego węgla, chociażby dlatego, że ma coraz mniej petro- i US dolarów na podtrzymanie swej europejskiej cywilizacji, która zgaśnie bez energii.

Politycy europejscy doskonale pamiętają zwrot w polityce Stanów Zjednoczonych w latach 1933-1938, kiedy to Roosevelt

wyłamał się z antykomunistycznej krucjaty i nawiązał dynamiczną współpracę gospodarczą ze Stalinem. Nixonowski epizod udowodnił, że taki zwrot jest możliwy i obecnie. Polityka ZSSR udowadnia stale, że przełknie łatwo każdy zwrot.

Nie zapominajmy — ZSSR jest ostatnim wielkim, atrakcyjnym rynkiem zbytu na miarę subkontynentu. Zagrożenia ekonomiczne czy militarne nie przyćmiewają tego faktu. Wszystkie trzy potęgi — bo Japonię z jej powiązaniem surowcowymi z Azją i Australią trzeba widzieć jako jeden blok — przy stałym falowaniu polityki strachu i odprężenia, kokietują ZSSR współpracą gospodarczą. Moskwa jest jeszcze ciągle w tej sytuacji, w której może wybierać partnerów. Polityką ustępstw, które jej właściwie nic nie kosztują, może takie partnerstwo „kupić”. Dziś trudniej niż 10-15 lat temu, ale w każdym bądź razie to Rosja będzie wybierała kierunek współpracy. Tę chwilową słabość Rosji, którą omówię w części poświęconej ZSSR, chce wykorzystać Europa Zachodnia, bo i ona jest w sytuacji przymusowej. Rosjanie nie od dziś zdają sobie sprawę, że bez współpracy z którymś z tych bloków nie są w stanie na własną rękę technologicznie dogonić współczesnego świata. Najlepszym przykładem jest sprawa gazociągu. Naszym technicznym ignorantom zajmującym się polityką światową muszę wyjaśnić, że nie jest to sprawa budowania instalacji, w której z jednej strony wytwarza się gaz, a z drugiej przykładą zapałkę, by gaz zapłonął. Jest to „instalacja” siły równej Golfstromowi na odległość dwukrotnie większą niż oddziaływanie Golfstrom. Ma docierać do południowych Włoch i do Jutlandii, ma „obmywać” i kształtować gospodarczą pogodę, jak Golfstrom klimaty Islandii, Anglii i Półwyspu Kola. Jest to siła równa kilku tajfunom jednocześnie, pracującym równomiernie, bez zakłóceń, przez dziesiątki lat. Bez pomocy USA nawet Europa i Japonia, nie mówiąc o ZSSR, są bezsilne. Tylko amerykańska metalurgia kosmiczna rozwiązała problem stopów na łopatki turbinowe, a raczej ich końcówki mogące wytwarzać takie moce.

Jest jeszcze jedna dziedzina, ze znaczenia której muszą w Moskwie zdawać sobie sprawę. Bez pomocy zachodnich dyscyplin naukowych związanych z produkcją żywności Rosjanie nie są już w stanie dokonać zielonej rewolucji. Pomijam sprawy ideologiczne, które zepchnęły Rosję na ostatnie miejsce krajów głodujących. Rosji potrzeba stale 50-80 milionów ton zboża. Jest bogata i stać ją na kupno tej żywności, ale to „odsuwa” od niej kraje trzecie „na wielu kierunkach”. Moskwa może eksportować ideologię, a za nią konwencjonalne uzbrojenie, lecz

kto takiej transakcji dokonał, popadł w nierozwiązywalne konflikty żywnościowe na własnym rynku.

Europa zachodnia a właściwie cała Europa musi nawiązać z Rosją takie stosunki, które by obejmowały szerszy zakres niż prosta wymiana handlowa. Europa zachodnia musi stworzyć warunki do długofalowej eksploracji subkontynentu euroazjatyckiego. Zachodnia część tego subkontynentu ma kompletnie wyczerpane własne źródła surowców, a swoje zapotrzebowanie na energię może pokrywać zaledwie w 20 % i to niebawym kosztem, idąc przy tym na ryzyko katastrofy ekologicznej na oblewających ją morzach. Zachodnia część tego subkontynentu posiada *jeszcze* olbrzymie nadwyżki potencjału technologicznego, ale jego znaczenie maleje wobec konkurencji Japonii i USA.

Próbą wyjścia z tej trudnej sytuacji były Helsinki. Europa zachodnia miała prawo liczyć, że potrzeby Rosji uczynią zeń lojalnego partnera konkretnego dialogu Wschód - Zachód. Korzyści jakie mogła czerpać Rosja z technologii zachodnich były stokroć większe niż mogłaby osiągnąć z obecności swoich czołgów nad wybrzeżem atlantyckim.

Dlaczego Europa zachodnia zgodziła się na Helsinki? Jej komuniści przestali już być prorosyjskim zagrożeniem. Rosjanie po wkroczeniu do Paryża czy Rzymu musieliby rozpocząć swoje rządy polityczne od delegalizacji partii komunistycznych i szukać partnerów do tamtejszego FJN wśród włoskich i francuskich Kowalczyków, Malinowskich, a miejscowych chadeków w parlamencie przestemplować na „posłów katolickich” jak w naszym Sejmie.

Europa zachodnia, tak jak po Monachium liczyła na „ustatkowanie się” Hitlera, tak po Helsinkach liczyła na ustatkowanie się Moskwy. Europa zdawała sobie sprawę, że Rosja więcej wygrywa na helsińskiej transakcji niż Europa. Cóż wygrywała Europa? To, że wojska rosyjskie nie ruszą znad Łaby na Paryż, do którego miały trzykrotnie bliżej niż do swoich pokojowych garnizonów w Saratowie czy Riazaniu. Rosja zaś mogła odbudować swoją nadszarpniętą opinię po współpracy z Sukarto, Naserem i wycofaniu się Amerykanów z Wietnamu, gdzie została sam na sam z pekińskim smokiem. Moskwa miała dać tak niewiele. Miała wydrukować i podać do powszechnej wiadomości tych kilka „niewinnych” paragrafów z końcowej deklaracji KBWE. Cóż to ostatecznie za słowa?! Od czasu zburzenia BastylIIi zna je każde dziecko w Europie. A jednak i tego było za wiele. Przypomnijmy sobie konflikt dyplomatyczny Polska - USA wynikły z niewydrukowania tekstu układu w naszym *Dzienniku*

Ustaw, mimo że go ratyfikował nasz Sejm. Obawiam się, że większość posłów głosujących za jego ratyfikacją też go nie znała, nie wyłączając posłów „intelektualistów”, „niezależnych” i „katolików”. Nie zapominajmy, że SB w Katowicach, zanim zaczęły się rozchodzić druki KOR-u, łapała i katowała tych, którzy kolportowali biuletyn PAP-u publikujący tekst uchwał helsińskich jako dokument „ściśle tajny”.

Helsinki, drugie Monachium Zachodu wobec totalitarnego państwa, było szukaniem pokoju i współpracy za wszelką cenę. Cena została zapłacona, nadziei na pokój nie było. Następowaly za to „pokojowe” aneksje: Somali, Jemenu Południowego, Angoli, Mozambiku. Sowiecka strefa wpływów wraz z obecnością ich floty uzyskała najdłuższą granicę morską z Oceanem Indyjskim i częścią Południowego Atlantyku. No i potem Afganistan.

Totalizm ani drgnął. Rozciągnął swoje panowanie na dalsze 90 milionów ludności, częściowo przy pomocy kubańskich „ochotników”. Szkoda, że o ich obecności w Adis-Abebie nie wspominał Kapuściński. Przeciwnie, w dwa lata później, upojony helsińskim oszustwem jakby się wzmocnił. Europa spostrzegła, że wpadła w kolejną pokojową pułapkę. Dowodzi tego fiasko Belgradu.

Jest jednak jeszcze jedna dziwna sprawa, której politycy nie dostrzegają albo zmówili się, by jej nie dostrzegać.

Od przeszło piętnastu lat nie udaje się zwołać światowej czy chociażby europejskiej konferencji partii komunistycznych i robotniczych. Pijany Breżniew w swym katowickim wystąpieniu obiecał Gierkowi taką konferencję i to nawet w Warszawie. Podał termin... „w ciągu roku...”. Były konsultacje w Budapeszcie, były sondáže i... grobowa cisza. Czego nie mogły wyjaśnić Helsinki, to mogłyby wyjaśnić taka konferencja. Dwie najsilniejsze partie komunistyczne Zachodu — francuska i włoska — szyczące się do koalicyjnych rządów w swych krajach musiałyby wysondować, na ile szczerze są pokojowe intencje ich ideologicznych mentorów ze Wschodu. Pomogłyby to w kampanii wyborczej, w umocnieniu lewicowych bloków. A jednak do takiego spotkania komunistów na europejskim szczycie nie doszło.

Jeszcze jedno zjawisko musiało budzić poważne obawy zachodniej Europy. Od piętnastu lat, w ciągu których tyle zmieniło się na świecie, sowiecki monolit polityczno-personalny ani drgnął. Tyle nowych spraw, tyle nowych idei i koncepcji, a tu nic a nic. Dwa kolejne zjazdy, dwukrotne wybory do władz najwyższych i przy wszystkich nominacjach ta sama formuła „został ponownie wybrany...”. Jeżeli ktoś „ustąpił” to dlatego, że

mu się zmarło. Taki zastój w systemie totalitarnym jest czymś bardzo niebezpiecznym. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by spodziewać się śmiertelnych zmaganiań o sukcesję.

Dwie trzecie obywateli ZSSR nie pamięta wojny. Jest to pokolenie, które przesiadło się z gazika do pojazdów kosmicznych. To przeraża zachodnioeuropejskich polityków i wszystkich zachodnich menadżerów, którzy około czterdziestki dochodzą do szczytu władzy. Czy ich sowieccy rówieśnicy uszanują wolę starców, wyrażoną w podpisach pod układem helsińskim? A przecież to oni diżurują przy guzikach wyrzutni rakietowych.

Amerykańscy sztabowcy, a wraz z nimi ich europejscy koledzy z wojsk NATO musieli jednak przedstawić jakieś przerażające dowody o nieszczerości sowieckiego partnera z Helsinek. To musiały być argumenty nie do odparcia. Militarizm nigdy nie był argumentem socjaldemokracji, a ona rządzi Europą zachodnią. To już nie było „nieprzestrzeganie” praw człowieka i obywatela w sowieckim bloku. Na nic zdały się berlińskie deklaracje Breżniewa zapewniające Zachód, że jeżeli nie będzie się zbroił, to on nie uderzy. Próżne były wyjazdy do Bonn, z których Breżniew wrócił z kompletnym fiaskiem. Tak samo bezcelowa była wyprawa do Delhi, które natychmiast po wyjeździe Breżniewa nawiązało serdeczny dialog z Pekinem. Jakże złowrogo brzmi „pokojowe” przesłanie Breżniewa do ONZ deklarujące w z a m i a n za powstrzymanie wyścigu zbrojeń rezygnację z sięgnięcia do broni nuklearnej j a k o *pierwszy*. Jakże w takim razie były zamiary przed ogłoszeniem programu zbrojeniowego Zachodu?

Zachód wyraźnie przestawał wierzyć „pokojowym intencjom” sowieckiego bloku i musiał mieć ku temu przerażające powody. Zbrojeń na taką skalę nie rozpoczyna się, by „napełnić kabzę” rekinom przemysłu. Nie uruchamia się takiej maszyny, by zapobiec recesji. To nie jest program na jedną kadencję prezydentury Reagana. Rozpędzona machina przemysłu, skala i przede wszystkim t e m p o tych zbrojeń nie dadzą się wygasić w wyniku jednego spotkania na szczycie. W dotychczasowych zrywach wyścigu zbrojeń Związek Sowiecki doganiał Zachód w ciągu 5-10 lat, biorąc poprawkę na siły lądowe i konwencjonalne, w których stale miał przewagę nad Zachodem.

Trzeba przyznać, że moment na konfrontację tempa i skali zbrojeń został wybrany sprytnie. Związek Sowiecki wyraźnie wykosztował się na podbój kosmosu i zaniedbał swoje ziemskie sprawy. Niemało nas wszystkich musi kosztować podgrzewanie arabskiego kotła. W ostatnim piętnastoleciu Związek Sowiecki

wziął na swoje utrzymanie 9 narodów z prawie stumilionową ludnością. Wszystko to kraje najbardziej zacofane, dosłownie najdalsze. Trzeba je wyżywić, chociaż trochę inwestować, a przede wszystkim zbroić, zbroić, zbroić. Obciążenie i zobowiązanie, które by zachwiały najnowocześniejszą i najlepiej zorganizowaną gospodarką. To już prezydent Kennedy w związku z Kubą, która kosztowała wtedy nasz blok milion dolarów dziennie, z przekąsem powiedział na jednej z konferencji prasowych: „gdybyśmy mogli sobie na to pozwolić ze względów politycznych, to najskuteczniejszym sposobem na osłabienie Związku Sowieckiego byłoby oddanie mu w kuratelę kraju dziesięciokrotnie liczniejszego”. Właśnie Kuba ma około 10 milionów ludności. A gdzie tam Kubie do potrzeb Somali.

Związkowi Sowieckiemu potrzebna jest każda para rąk do pracy, każda obrabiarka, każdy megawat. Nie na utrzymanie tempa, ale na zmniejszenie dysproporcji między narzuconym tempem konfrontacji, która obejmuje przecież wszystkie dziedziny. Chodzi tu zarówno o przewagę w kosmosie, w raketach jak i w zbiorach pszenicy. Broń zbożowa jest groźniejsza od atomowej. Tamta niszczy w okamgnieniu istnienie ludzkie, a ta szarpie wnętrzości latami. Tamta sieje zniszczenie, a ta zwątpienie. Mija już sześćdziesiąt pięć lat obietnic.

Europa zachodnia prawie bez zastrzeżeń przyłączyła się do amerykańskiego programu konfrontacji, ale też ma jeszcze bardziej ważne powody, by go popierać i kontynuować do skutku. Bezpieczeństwo Zachodu nie może wisieć na włosku gołosłownych deklaracji. Tym razem chodzi o coś więcej niż europejski kongres wiedeński, Wersal czy Jałtę. Tym bardziej, że może uda się to osiągnąć bez wojny. Chodzi o nowy pokój westfalski, który może utrwali podziały, stworzy nowe ugrupowania prawowiernych i heretyków, ale zapewni im wreszcie autentyczne współistnienie. Odłożenie wojny aż do podpisania i wygaśnięcia następnego SALT II, III, IV nie wchodzi w rachubę. Doświadczenia dwudziestego wieku dowodzą, że żaden totalitaryzm nie dotrzymuje umów, a już szczególnie w sprawach pokoju czy wojny. Jeżeli będzie się stale stosowało zasadę *appeasement* w stosunku do państwa totalitarnego, to wojna musi wybuchnąć. Bo wojna w państwach totalitarnych jest między innymi sposobem na rozwiązywanie trudności wewnętrznych. A tych blok komunistyczny ma aż za dużo. I to we wszystkich dziedzinach, od zwietrzałej ideologii poczynawszy na działaniu systemu kartkowego kończąc.

Jakże pouczające są opracowania sztabowców austro-węgier-

skich z lat 1907-1914, którzy wojną i zwycięstwem chcieli scementować rozpadającą się wielonarodowościową monarchię Habsburgów.

Celowo zabrnąłem w tak dalekie regiony polityki, by naszym politycznym naiwniaczkom i idealistom uzmysłowić jasno, jaka jest sytuacja Polski w tym właśnie momencie.

Jakie są fakty? Jesteśmy w bloku komunistycznym od trzydziestu lat. Dziś stanowimy liczebnie równo 10 % tego bloku, wliczając w to nowe abisyńskie i angolskie nabytki. To nie tak mało. I znów jak w przypadku demoludów jesteśmy od każdego nowego nabytku co najmniej dwukrotnie liczniejsi. Moi wieloletni przyjaciele zapewniali mnie, że co by nie było, „Zachód nie pozwoli nam zginąć”. Ta ich pewność i absolutna głupota polityczna nie dawała mi spać. A dlaczegożby Zachód miał nie pozwolić?

Zachód, idąc na całego, rzucając w pierwszej kolejności na kartę bezpieczeństwo Paryża, Rzymu, bo takie niebezpieczeństwo istnieć będzie, ma się roztkliwiać kłopotami Obodowskiego w realizacji kartek mięsnych w zimie 1982/1983? Ten nowy układ może być zawarty nieprędko. Za pięć, nawet za dziesięć lat. Tymczasem już dziś Polska, jedna dziesiąta potencji bloku komunistycznego, jest jednocześnie największym, trudnym do wyliczenia w procentach problemem polityczno-gospodarczo-militarnym. Czołgi, które Jaruzelski musiał wyprowadzić przeciwko robotnikom FSO i kopalni Wujek już wypadły z tego rachunku, a ile ich jeszcze jest zaangażowanych na pilnowanie czołgów Jaruzelskiego. Jaki cel miałyby Zachód w świadczeniu w tym momencie dobrych usług łągodzenia naszych trudności?

W tym momencie najgroźniejsze jest nie to, że stoi połowa przemysłu, a druga połowa jest anektowana przez bardzo mieszane spółki. Nie to, że rolnicy wybijają pogłowie trzody i bydła, że nie mamy rezerw. Najgroźniejsza jest ignorancja tego stanu rzeczy i granicząca wprost z narodowym samobójstwem lekko-myślność. Nie chodzi mi tu o sprawę „wkroczą nie wkroczą”, bo to będzie sprawa tylko innych znaków taktycznych czołgów i innej ich numeracji. I tak się ona przedstawiała od początku. Jeżeli władza zmuszona jest do użycia własnych czołgów, by dochować wierności swoim sojuszom, to przestaje być władzą suwerenną. Tylko suwerenny naród może zawierać i dochowywać swoich sojuszy. Oczywiście sojusze te nie mogą być wymierzone w interesy tego narodu. Oczywiście, bywają sojusze mniej lub

bardziej korzystne, ale nie mogą prowadzić do narodowej katastrofy.

Zajmujemy bardzo ważne miejsce w Europie. Europa miała prawo sądzić, że Polska przestanie być już wreszcie „chorym człowiekiem Europy”. Znalazła się w bloku sowieckim za aprobatą państw zachodnich, a wraz z nią jeszcze dziewięć krajów, licząc Finlandię i Albanie. Nie przypadkiem wymieniam Finlandię. Od czasu zawarcia traktatów gwarantujących jej niezależność musiała dwukrotnie unieważnić wybory do parlamentu, które wypadły nie po myśli sowieckiego sojusznika. Sześćdziesiąt procent eksportu Finlandii to eksport do ZSSR. A mimo to ten podbiegunowy kraj, po utracie Wyborga i najbogatszych swych terytoriów, kraj, który poniósł największe straty po wojnie, ma dzisiaj jeden z najwyższych dochodów na świecie. Nie zmienimy faktu, że znaleźliśmy się w tym a nie innym bloku. Takiej zmiany nie bierze w rachubę ani Waszyngton, ani Moskwa. Mogliśmy jednak uczynić wiele, by swoją pozycję w tym bloku znacznie poprawić. Nie była to pozycja ani słabego, ani chorego człowieka. Pomijam okres stalinizmu, ale już fakt, że nie skończył się on Budapesztem z Gomułką wzmocnił naszą pozycję w świecie. Bezwzględnie, po Dwudziestym Zjeździe na tle szarych przywódców wschodniej Europy Gomułka był kimś. Gomułka był jedynym przywódcą świata, który miał za sobą cały naród. Mógł wykorzystać ducha Genewy bardziej niż to uczynił. Już w 1956 roku Polska uzyskała status kraju najbardziej uprzywilejowanego w handlu z USA, na co inni satelici musieli czekać po dziesięć lat i dłużej i nigdy nie doczekali się go w takim wymiarze. Zachodnia Europa bez warunków przyjęła Polskę Gomułki jako poważnego partnera. Nie ma się czemu dziwić. Przyćmił Tito. I temu człowiekowi przypadły jeszcze w udziale podarunki losu w postaci największych w XX wieku odkryć geologicznych w Europie. Węgiel brunatny, siarka, gaz, cynk, miedź. Przypadło mu rządzić krajem o największym przyroście naturalnym w momencie gdy świat, a przede wszystkim Europa wchodziła w okres wielkiego *boom*'u. Gomułka nie dorósł do swojej roli. Zestaliniął. Doprowadził gospodarkę do stagnacji i to w momencie kiedy inne demoludy ruszyły ostro do przodu. A gdzie był wtedy trzydziestomilionowy naród jako „grupa nacisku”? Czy stać go było zaledwie na protesty intelektualistów w sprawie sytuacji w literaturze i niskich nakładów książek? Gdzie była sława tego narodu znanego z niezależnych poglądów i impulsywnych skłonności do granic historycznego ryzykanctwa? Ileż ostatecznie mógł liczyć efektywny aparat ucis-

ku i zamordyzmu? Obliczałem to dokładnie. Cały aparat MO, SB i partii nie przekraczał stu pięćdziesięciu tysięcy, a więc pół procent narodu. Nie był to aparat jednolity, nie stanowił monolitu. To jednak nie był reżym Battisty czy Somozy. Naród, który p r z e ż y ł Himmlera przestraszył się... Moczała. Ścisła, rządząca czołówka, żrąca się do tego między sobą, cała pezetpeeria to jeden „pociąg przyjaźni”, nie więcej jak tysiąc pięćset osobników. Tysięczne części promila. Jak dla narodu, który zawsze stawiał czoła wielokroć liczniejszym nieprzyjaciołom — siła naprawdę znikoma. A przecież pezetpeeria już wtedy była nieprzyjacielem we własnych granicach. Wyniki ekonomiczne i polityczne rządów Gomułki, jego niesławny koniec był tego najlepszym dowodem. Droga do niepodległości nie zawsze wiedzie przez zwycięstwa z wrogiem zewnętrznym. Czasami trzeba zaczynać od zburzenia własnej Bastylia.

Bastylie można burzyć na różne sposoby. Garibaldi szturmował Palermo, a Cavour kończył właśnie prace nad taryfami kolejowymi dla całego Półwyspu Apenińskiego. Obowiązują do dziś w Zjednoczonej Italii. Angielskie sufrażystki swoimi parasolkami wyważyły bramy w Bastylia obyczajów, w których więziono większość kobiet Europy. Od tego, w jaki sposób my p r z y s t ą p i m y do burzenia swoich Bastylia zależy będzie, w jakim miejscu Europy znajdziemy się w najbliższej przyszłości. W tym co powiedziałem nie ma cienia przesady. Nie ma też przesady w tym, że j e d n o c z e ś n i e musimy burzyć wiele swoich Bastylia. Jedną z nich jest nasza polityczna ignorancja.

W bełkotliwym harmiderze, jaki się podniósł po podpisaniu t a k z w a n y c h Porozumień Społecznych, żadna sensacja, ale też i szybko zapominająca opinia Zachodu dostrzegła naszą dojrzałość polityczną.

Otóż w Porozumieniach tych ani słowem nie wspomniano o rolnikach i rolnictwie. Dziwne. Trzy ostatnie kryzysy — 1970, 1976, 1980 — wywołane były próbą podwyżki cen żywności, a poprzedzone wieloletnim kryzysem żywnościowym infantylnie nazywanym „napięciami na odcinku zaopatrzenia w żywność”. Nawet techniczny czy ekonomiczny laik wiedział, jak bardzo nasz przemysł uzależniony jest od wsadu dewizowego. Wiedział też, że nasze długi dawno przekroczyły stan alarmowy.

Jedynie produkcja rolna, uzależniona od nieba rozpościerającego się nad nami, od słońca równo nam świecącego, od stanu wód gruntowych nie poddających się kierowniczej roli partii, wymaga „wsadu” pracy rolnika, chęci do tej pracy i polityczno-ekonomicznej jej motywacji. Nie ma tu miejsca na wyliczanie, jak

pezetpeeria systematycznie wyniszczała rolnictwo pod płaszczykiem sojuszu robotniczo-chłopskiego. To wyniszczanie było jej ideowym programem politycznym.

Natychmiast po zawarciu Porozumień Społecznych cała pezetpeeria wraz ze swoimi satelitami, z towarzyszem Kanią na czele, i pod obecność towarzysza Jaruzelskiego, przystąpiła do wbijania klina między chłopów a robotników. Młotem do tej czynności był ZSL. Dla każdego było już jasne, że ofensywny nawrót do robotniczo-chłopskiego sojuszu jest niczym innym jak zamknięciem się władzy w swojej nowej Bastylii. Jej kraty od robotniczej ulicy zostały przez Wałęsę wyważone.

Przemówienia Kani wygłaszane na pięciu chłopskich zjazdach, zorganizowanych *ad hoc* w ciągu pięciu tygodni dowodziły, że pezetpeeria niczego nie zapomniała, niczego się nie nauczyła i niczego nie zrozumiała.

Pod płaszczykiem sojuszu robotniczo-chłopskiego demolowała polityczne, samorządowe, tradycyjne instytucje wsi i jej narodowe powiązania. Pod płaszczykiem sojuszu robotniczo-chłopskiego wieś była *wynaradawiana*. Gdy nie można było jawnie wprowadzić kolektywizacji, wprowadzano ją podstępnie przez pegeeryzację, rzekome emerytury dla rolników, SKR-y, stwory zwane spółdzielniami rolniczymi, w których znalazły schronienie elementy wyrzucone z SB za pijaństwo, a z aparatu partyjnego za nie dające się zatuszować kradzieże. Zalewem taniego amerykańskiego zboża odrywano rolników od podstawowego obowiązku, jakim jest uprawa roli, i zamieniano na dogładcza eksportowego bydła i świniopasa. A jednak wieś pozostała samodzielna i samofinansująca się. Otwarte zostało pytanie, czy będzie mogła zostać samorządną.

Niech nikogo nie dziwi, że sprawę chłopską mieszam do oceny stosunku Polska - Europa.

Nasza partyjna propaganda w nieporozumieniach rolnych EWG dopatruje się kryzysu tej organizacji i początku jej rozpadu. Tym kryzysom poświęca wiele miejsca i chwala jej za to, choć nic z tych kryzysów nie rozumie. Te nieporozumienia rzeczywiście mają miejsce i są autentycznie najpoważniejszymi konfliktami w EWG. Dzięki rywalizacji winiarzy francuskich i włoskich, bawarskich producentów zbóż i holenderskich producentów brojlerów, EWG pozostaje stowarzyszeniem ojczyzn, jak to pięknie nazwał de Gaulle, a nie bezdusznym, kosmopolitycznym, beznarodowym producentem samochodów, chemikalii, tworzyw sztucznych. Mimo że producenci rolni na Zachodzie sta-

nowią niewielki procent zatrudnionych, a rolnictwo tylko w niewielkiej części partycypuje w dochodzie narodowym, rolnictwo w każdym kraju EWG jest wielką siłą polityczną. Żaden polityk tak Francji jak RFN, jak i polityk europejski z centrali w Brukseli nie uczyni niczego, co by godziło w interesy producentów rolnych. Swoimi decyzjami narażają się wielkim koncernom, militarystom, nawet związkom zawodowym, ale nie rolnikom! Dlatego to, co się działo w sprawach rolnictwa w Polsce było w centrum uwagi polityki europejskiej, a nie to, co się rozgrywało na Muppet Show w Gdańsku.

Wąłęsa, nie bez sugestii swoich doradców, których skład i obecność uzgodniono uprzednio z Biurem Politycznym i Episkopatem, *wyrzekł się* ambicji i obowiązku politycznego reprezentowania rolników. Ten błąd mieli spostrzec dopiero w kilka miesięcy później. Rolnictwo niezaprzeczalnie było innym sektorem i teraz chodziło o to, czy sektor ten zdobędzie się na wywalczenie autentycznej, samodzielnej i politycznej reprezentacji. Nie chodzi tylko o ambicje politykierskie, o procentowy skład tej czy innej komisji. Tu chodziło o reprezentację interesów ekonomicznych wsi, a ta najprostsza ekonomia chłopska jesienią i zimą 80 decydowała o przeżyciu Polski przez najbliższe dwadzieścia cztery miesiące.

Nie pomagały żadne zielone światła dla rolnictwa, żadne telewizyjne „pomysł kup i sam se zrób”. Katastrofa zerwania więzi ekonomicznej między miastem a wsią, jak to naukowo nazywali ekonomiści, stała tuż, tuż za progiem. Wiecie co to oznacza: że krowa nie ma po co dawać mleka, kura znosić jaja, a ziemia po co rodzić zboża. Że jak więź ta zostanie zerwana ostatecznie, to po nieudanych próbach oszustw w postaci sprzedaży wiązanej czy nabierania na pożyczki zbożowe pozostanie już tylko wysyłanie ekip, aby pod ochroną Ludowego Wojska i zbirów z ZOMO rekwirowały i rabowały chłopski dorobek.

Jeszcze z innego względu Europę tak bardzo interesowała sprawa chłopska. Politycy europejscy i amerykańscy pod koniec lat siedemdziesiątych jasno zdali sobie sprawę, że to tylko dzięki pożyczkom zachodnim pezetpeeria mogła sobie pozwolić na szaleństwa, na budowę dolarożernych fabryk mięsa, fabryk mleka, w których dzięki niespłacalnym pożyczkom można było produkować mleko kosztem 30 złotych, a „sprzedawać” w cenie 4 złotych. To dzięki tym pożyczkom na Suwalszczyźnie budowano jeszcze w 1979 roku tuczarnie kaczek za osiem tysięcy od sztuki, a więc dwukrotnie drożej niż kosztuje miejsce dziecka wiejskiego w szkole. Nawet bankierzy zachodni zrozumieli, że dofinanso-

wując gierkowską politykę rolną podrywają zdolności płatnicze swego wierzyciela.

Dlaczego tyle miejsca poświęcam sprawom chłopskim w ocenie naszego położenia w Europie? Dlatego, że Europa lepiej się orientowała od społeczeństwa polskiego, że to tylko poparcie na śmierć i życie chłopów Gomułka mógł tak pięknie odgryźć się Chruszczowowi dramatycznej, październikowej nocy w Belwedrze, odbić od sowieckiego brzegu w nurt polskiej drogi do socjalizmu. Chruszczowowskie dowództwo wojskowe zdawało sobie sprawę, że wjeżdżając czołgami w granice Polski, by gonić za gomułkowskim rewizjonizmem, wjedzie w chłopską żakerię o takich rozmiarach, że aż im się Pugaczowszczyzna przypomni!

A tymczasem sekretarz Kania, przysły generalissimus Jaruzelski, chłopski syn Barcikowski pieprzyli aż do młodości o stu-letniej tradycji kótek rolniczych i wydedukowali stąd prosty wniosek, że ich przyszłość tylko pod kierownictwem i skrzydłami pezetpeerii. W tym napiętym okresie, kiedy późniejsza, kontrrewolucyjna „Solidarność” rozpoczynała skecz-dialog o wolne soboty, pezetpeeria zwołała aż siedem zjazdów chłopskich, aby umocnić „kierowniczą rolę” i poparcie chłopów. Siedem zjazdów w ciągu pięciu tygodni. Odgrzebano trupa, o którego istnieniu zapomniał Gomułka, swego czasu autentycznie zawodowy związek chłopów — Samopomoc Chłopską, aby poprzez swoich „delegatów” poparli Kanię i jego antynarodową politykę. Rany Boskie, jeżeli się nie mylę, od 17 czy 18 lat nie było zjazdu Samopomocy Chłopskiej, a więc skąd wygrzebano tych „delegatów”?

Tradycje politycznego ruchu chłopstwa polskiego są Europie zbyt znane, aby mogły pójść w zapomnienie tak... jak poszły w zapomnienie w społeczeństwie polskim. Dzięki tym tradycjom Polska uchroniła swój stan posiadania pod zaborem pruskim i dzięki nim, połączonym z fanatycznym przywiązaniem do religii katolickiej, utrwaliła mowę polską pod zaborem rosyjskim wraz z dążeniami do niepodległości.

Stronnictwa chłopskie były zawsze w Polsce niepodległościowe, nieczułe na „izmy” czy dywersję ideologiczną. Broniąc interesów chłopów broniły interesów Polski. Dążąc ku wolnej Polsce dążyły do wyzwolenia chłopów. To chyba tylko zmieszczaniąym rzeczoznawcom z DiP-u mogło się przytrafić, że zapomnieli o chłopskim rodowodzie tradycji niepodległościowej. Aż takie oderwanie się od rzeczywistości dyskredytuje ich jako ekspertów.

Nie tylko koła polityczne Europy zachodniej, ale także koła finansowe były bardzo zainteresowane rozwojem aspektu chłop-

skiego sytuacji w Polsce. Sprawę zadłużeń polskich omówię w oddzielnym rozdziałiku, ale każdy na Zachodzie zdawał sobie sprawę, że jeżeli w Polsce uda się chociaż tymczasowo wyłonić polityczną reprezentację chłopów i tym samym pobudzić ich do działalności politycznej mimo zerwania więzi gospodarczej, to Polsce uda się przez 24-36 miesięcy utrzymać „substancję” przemysłu w stanie, w którym będzie można przystąpić do renegocjacji długów obciążających ten przemysł. Jeżeli nie, to Polska natychmiast będzie musiała zaprzedać swoje zdolności produkcyjne każdemu kto da wsad dewizowy i surowce, nie patrząc czy to jest hochsztapler „polonijny” czy polityczny inkwizytor rosyjski w osobie komisarza zarządzającego polską fabryką. Oczywiście nikt nie liczył na ocknienie się ZSL, organizacji składającej się z osobników tak obrzydliwie skorumpowanych moralnie, że szkoda dla nich nawet słów na pośmiertne epitafium. Sądzono, że dysponując „bronią żywnościową” i nieocenionymi zasobami przywiązania do polskości, chłopcy wyłonią namiastkę siły politycznej, jako grupy nacisku. Było to niezbedne. Rolnictwo zachowało swą niezależność jako jedyna część gospodarki autentycznie samofinansująca się. Mogło narzucić nieuchronnej reformie właściwy kierunek jako jedyny autentyczny dawca zamówień i odbiorca wypłacalny produkcji przemysłowej. Waluta nie znajdująca już oparcia w żadnych realiach przemysłowych, w cenie zboża lub innych dowolnych artykułów rolnych mogła znaleźć uczciwy przelicznik, co ile jest aktualnie warte. To nie chłopomanstwo przeze mnie przemawia. To była jedyna furtka, przez którą mogły popłynąć strumyczki pomocy dewizowej. Tylko kredyty na finansowanie samowżywienia się mogły być realne. Nikt nie będzie kredytował zabezpieczenia kartkowych racji żywnościowych mięsem pochodzącym z importu.

Zachód miał prawo liczyć, że w tej sprawie wypowie się milcząco jak s f i n k s Episkopat Polski. Nie miały wpływ na decyzje polityczne Zachodu, a często decydujący, mają partie chadeckie czy wręcz zdecydowanie klerykalne, dla których społecznym oparciem jest ich rodzime chłopstwo. Ich głos nad nadzwyczajnymi, supernadzwyczajnymi kredytami czy nawet dotacjami dla podratowania rolnictwa polskiego mógłby być decydujący. Nie przeszedłby taki kredyt na dofinansowywanie polskich komunistów z Kanią i ojcem pegeeryzacji, Pińkowskim. O kredyty takie mógłby wystąpić ruch ludowy mający poparcie hierarchii kościelnej, która przecież była i pozostała jedyną niezależną siłą polityczną w Polsce. Mógł wystąpić Episkopat z listem do biskupów niemieckich? Mógł. Wywołało to wściekłość

Gomułki, ale fakt pozostaje faktem, że Wyszyński był prekursorem ze strony polskiej nawiązania autentycznego dialogu politycznego z Niemcami w sprawie powojennego uznania *status quo*. Zimą 80 chodziło o dialog Polaków.

Jeszcze jeden niezrozumiały fakt zaskoczył zachodnią Europę. Zachód nie tylko miał w pamięci, ale mógł jeszcze obserwować i doceniać rolę katolicyzmu w odrodzeniu się Hiszpanii, w uwolnieniu od jarzma falangi i frankizmu. Chodzi mi o organizację *Opus Dei*. W samookupowanej, tak jak Polska, przez aparat partyjny Hiszpanii katolicy wypracowali program i sposoby działania nie tylko na wyzwolenie się Hiszpanów, ale na wprowadzenie ich od razu do „bogatej” Europy. Hierarchia kościelna w Polsce, jako jedyna spośród wszystkich organizacji zachowała autonomię, zasoby finansowe, kontakty z Zachodem i dysponowała własnym zapleczem naukowym. Nie mogła być jej nie wiadoma tragiczna sytuacja ekonomiczna kraju. Nie mogły być jej nieznane źródła tej sytuacji. Zdawała sobie sprawę z zagrożenia politycznych i narodowych, jakie niesie z sobą ta sytuacja. Hierarchia ta musiała zdawać sobie sprawę, że dojdzie kiedyś do kryzysu i wtedy potrzebne będą społeczeństwu doraźne programy, przemyślane zalecenia i trafne oceny. Kościół nie tylko cieszył się nieograniczonym autorytetem. W Kościele i jego hierarchii wszyscy widzieli ratunek, nawet ateści. Spodziewano się czegoś więcej niż święcenia sztandarów czy odsłaniania pomników ofiar... bez odsłonięcia rąbka tajemnicy, kto jest ich mordercą. Niestety okazało się, i to w tych listopadowo-grudniowych dniach, że hierarchia kościelna poza modłami nic konkretnego do zaistniałej sytuacji wnieść nie jest w stanie. Jak to widział Zachód, w którym partie chadeckie są bądź rządzące, jak we Włoszech, bądź czekające na zmianę warty, jak w RFN, bądź w twórczej opozycji, jak w Holandii czy Belgii? Do tego powróć, gdy będę omawiał sprawę stosunku Polski do Polaków, jeżeli mi siepacze Rakowskiego w tym wcześniej nie przeszkodzą.

„Komedią konstytucyjną” mogą tylko nazwać walkę o uznanie faktu *de jure*, że chłop polski istnieje, produkuje, jest dla siebie jedynym decydem i ma prawo do życia.

Ma więc prawo zrzeszać się, by bronić swoich interesów i warsztatów pracy. Czy „uznanie” tego faktu wymagało aż 8 miesięcy i poprawki konstytucji? Do tej samej konstytucji, do której przed czterema laty, bez oporu ze strony posłów, „stemplowanych katolików”, przeszła w Sejmie „poprawka”, że aparat partyjny, bezprawnie nazywający siebie partią, „jest przewodnią siłą narodu”. Na mocy tej, o świeżutkim jeszcze stażu, popraw-

ki, Barcikowski miał czelność twierdzić, że partia „władzy nie odda”, bo sprawowanie jej jest „konstytucyjnym obowiązkiem”. Oj Barcikowski, Barcikowski, czyś ty się nie uczył o Uniwersale Połanieckim, który „potwierdził prawo chłopów do stanowienia o Polsce”? Jest ono równo o 206 lat starsze i bardziej zasiedziałe niż prawo PZPR.

Tej zimy, w czasie rządów Pińkowskiego światelko w beznadziejnym tunelu, w jakim się znajdowaliśmy, było jeszcze widoczne.

Katastrofa ekonomiczna Polski nastąpiła między rokiem 1976 a 1978. Teraz nadchodził czas katastrofy technologicznej i organizacyjnej. Sierpień ujawnił ruinę wszystkich struktur, z moralną włącznie. Katastrofę pogłębiała inercja dotychczasowych struktur ministerstw, zjednoczeń. Pezetpeeria udowodniała światu, że nie ma uczciwych zamiarów wobec „Solidarności” prowadząc skecz w sprawie wolnych sobót, tylko „Solidarność” tego nie dostrzegła. A raczej jej doradcy!

Tej zimy, 1980/1981, od nas zależało, czy sierpień 80 przejdzie do historii jako kolejny serial „wypadków” polskich, czy też będzie początkiem głębokiej rekonwalescencji chorego człowieka Europy. To tylko my sami przed sobą mogliśmy się usprawiedliwiać, że cztery, sześć, piętnaście miesięcy to mało. Europa tych usprawiedliwień nie przyjmowała. Jeszcze raz przypominał — w 1918 roku, w państwie bez granic, waluty, administracji, w państwie nieuznanym jeszcze przez Europę, ledwo przez nią dostrzeżonym, po trzech miesiącach wojennego istnienia, z narodowymi powstaniem na wszystkich krańcach — zdobyliśmy się na reprezentację narodową: sejm.

Katastrofalny stan fabryk i rolnictwa wymuszał na nas działania szybkie i zdecydowane. Wymuszała też groźba: „wkroczą, nie wkroczą”. Nasz bezwład prowokował do wkroczenia. Fabrykom nie groził już przestój, bo stawały jedna po drugiej.

Pozbawiona części wymiennych energetyka słała rozpaczliwe SOS. W okresie letnim 1981, przy 50-procentowym spadku produkcji, musiała znów zejść do 20 stopnia zasilania. Rakowski, Barcikowski na kolejnych plenach wrzeszczeli, że nie dopuszczają do „dwuwładzy”. I słusznie wrzeszczeli — trzeba było budować nową władzę od podstaw. Nieunikniona reforma gospodarcza wymagała głębokich i zasadniczych reform obyczajów politycznych. Nasz byt, nasz chleb powszedni w dosłownym znaczeniu zależał od tego, czy zerwiemy z obyczajem nakazowym, oglądaniem się „czy pozwolą” i na co „pozwolą” i czy zaczniemy czynić to, co my uważamy za słuszne i konieczne.

Rakowski żądał od nas abyśmy nie negowali dorobku pezet-pererii. Ależ nikt nie zamierzał go negować. Był on rzeczywistością budzącą przerażenie nasze i świata. Nawet Moskwa była przerażona stopniem nieudolności i bezradności swoich ludzi. Pińkowski, Kania, wicepremierzy, ministrowie spadali jak owoce z nadgniętej gruszy. Sygnatariusze umów społecznych trafiali do więzienia, jak Kaim za sprzeniewierzenie 120 dolarów, czy w niebyt nomenklatury, jak Jagielski. Rozpierała nas idiotyczna duma, iż przestraszona naszymi wypadkami Europa musi nas utrzymywać, musi nam pomagać, bo rzekomo od naszej postawy zależy ich spokój i bezpieczeństwo. To nie były kawiarniane plotki. Nikt się nie zastanawiał, że jeżeli już ktoś pospieszy nam z pomocą, to na pewno nie zachodnia Europa. Ta ogłosi *desintéressement* w sprawach Polski w imię swych własnych racji stanu.

Swe własne „dziewięćdziesiąt” dni spokoju Jaruzelski zerwał wysłaniem wicepremiera Macha wraz z batalionem ZOMO na salę obrad Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy. Zrobił to Jaruzelski, bo mianował wicewojewodów bydgoskich, ponurych bohaterów wydarzeń 19 marca, członkami swego najbliższego sztabu. Trzykrotne wystąpienia Rakowskiego publikowane w *Trybunie Ludu* oraz jego oświadczenie przedstawicielom „Solidarności” potwierdzają kategorycznie, że Jaruzelski i Rakowski byli autorami wydarzeń bydgoskich. Byli z nich dumni i naigrywali się, że nikt im nic za to nie zrobi. Oświadczenia Rakowskiego przedrukowała prasa partyjna w całym kraju. *Trybuna Ludu* drukowała listy dziękczynne za „danie nauczki” Rulewskiemu. Jak można je było przeoczyć!? Jak po tym można jeszcze było wierzyć w szczerłość dialogu.

„Światelko w tunelu” ginęło w oparach gazów łzawiących!

Sytuacja gospodarcza, przede wszystkim gospodarcza, pogarszała się z dnia na dzień w wyniku braku jakichkolwiek konstruktywnych decyzji. Sytuacja polityczna rozpyływała się w obustronnym bełkocie.

Władza albo już nie mogła, albo jeszcze nie chciała sterować gospodarką, a konstruktywnym dialogiem doprowadzić do wyjaśnienia sytuacji politycznej. Nie chciała albo nie mogła albo też czekała na interwencję wojsk sowieckich lub przygotowywała się do własnego wojskowego zamachu stanu.

Chcę jeszcze wyjaśnić sprawę „listów”. Listów, jakie wysłało kierownictwo KPZS do PZPR nie wysłała się bez uprzedniego uzgodnienia tekstów w zaufanym gronie obydwu stron. Ich nadejście sygnalizowano „kontrolowanymi przeciekami”, mię-

dzy innymi przez poniektórych bardziej strachliwych doradców z najbliższego otoczenia Wałęsy. Miały one zaszokować społeczeństwo, nie Olszowskiego, Rakowskiego, Obodowskiego czy Kiszczaka. Zwykła przyzwoitość i dobre wychowanie, polityczny *savoir vivre* wymagał odpowiedzi na takie listy. Na jednym z plenów domagano się „ustosunkowania” do nich. Pozostały bez odpowiedzi.

Przypominam tym, którzy zapomnieli, a informuję tych, którzy nie wiedzieli, że swego czasu kierownictwo rumuńskiej partii ostro odpowiedziało Chruszczowowi na podobne listy.

Dochód narodowy powstaje w zakładach pracy a nie w Biurze Politycznym. Więż ekonomiczna między miastem a wsią to nie scholastyczne rozważania a konkretna i opłacalna wymiana towarów lub gwarancja takiej wymiany w najbliższej przyszłości.

Komedia rządowego raportu w Sejmie powinna uświadomić każdemu inżynierowi polskiemu, że najwyższy czas skończyć z programowym mydleniem oczu całemu społeczeństwu. Trzeba było odrzucić zagrożenie „wkroczą”... Na wypadek wkroczenia trzeba jeść własny chleb, aby nie być zmuszonym wyciągać ręce po wojskowy komiśniak. Wiosną 1981 był już ostatni czas, by nieformalne grupy inżynierów i dyrekcji na mocy udzielonych im przez miejscową „Solidarność” pełnomocnictw przejmowały kierownictwo zakładów. Trzeba było skończyć z rozważaniami na temat dwuwładzy. W sytuacji bezwładzy trzeba ją tworzyć od dołu we wszystkich newralgicznych punktach. Takie najprostsze zarządy fabryk, z grup zdolnych brać na siebie odpowiedzialność, byłyby załączkiem reformy i przyszłej organizacji przemysłu. Ich działania uspokajałyby bezprzytomne gadulstwo, a dyskusje sprowadzały do konkretnych spraw. „Solidarność” „odrywała się już od tematu”. Konkretnie zadania — co robić dziś, jutro, za tydzień — wyłoniłyby z „Solidarności” „grupy tematyczne”. Te grupy byłyby załączkiem autentycznej reprezentacji politycznej. Jałowy entuzjazm, oczekiwanie politycznego cudu, nadzieja niektórych członków DiP-u, „że oni wreszcie coś zrozumieją” stawały się naszym największym zagrożeniem wewnętrznym i zewnętrznym. Konkretna praca narzuca twórczą dyscyplinę nawet o cechach rygoru stanu wyjątkowego. Podjęcie konkretnych zadań wyznacza cele polityczne. I tak powinno się było stać w konflikcie „o dyrektora LOT-u”, zamiast rozważania sprawy „pośrednictwa SDP i jego ekspertów”.

Osobiście latem 1981 roku przeżywałem największą tragedię swego życia. Postulowałem, by „Solidarność” podjęła własną

akcję raportów o stanie zakładu. Uczestniczyłem w pracach „Sieci”, w słowie i piśmie przedstawiając konieczność natychmiastowego zorganizowania samorządów i w marszu przejmowania zakładów. Tkwiliśmy w mieście, że każda akcja musi uzyskać status ustawy sejmowej. Nie chcę przytaczać wielu przykładów z historii. Na jej decydujących zakrętach nikt nie myśli o rejestracji. Leninowska WKP(b) nie zjawiała się w Pałacu Zimowym, by przedstawić się Kiereńskiemu i zarejestrować się w odpowiednim wydziale Rządu Tymczasowego. Chęci zburzenia Bastylli nikt przedtem nie zgłaszał Ludwikowi XVI do zatwierdzenia.

A nasz Dekret PKWN o reformie rolnej i nacjonalizacji przemysłu „przeszedł” przez Sejm?

Organizacje techniczne wszystkich szczebli, stowarzyszenia energetyków, górników, transportowców powinny były z własnodolnej inicjatywy zwoływać krótkie narady, by wyznaczyć sobie zadania, takie, aby kraj nie zginął. Nie chodziło o obowiązek patriotyczny, a realizację sensu istnienia zawodu polskiego inżyniera.

Piszę o tym w czasie przeszłym, ale to wszystko jeszcze nas czeka, w sytuacji stokroć gorszej, wobec zmęczenia i zniechęcenia całego społeczeństwa, a przede wszystkim przy odwracaniu się Europy od spraw polskich.

Czego nas uczą doświadczenia lata 1981?

Nadzwyczajny Zjazd partii, a szczególnie jego polityczne oblicze uzmysłowiło, że jest ona niereformowalna. To nie był zjazd partii politycznej. To było zebranie grupy rządzącej, która chciała swoją obecność narzucić całemu narodowi i spełniać dalej tę samą rolę jaką spełniała dotychczas. *Curiosum* — dopiero w osiem miesięcy po nadzwyczajnym zjeździe, a po trzydziestu pięciu latach swoich rządów partia polityczna przedstawia pod dyskusję swoją deklarację ideową. Trzydzieści pięć lat byliśmy rządzeni przez partię, która nie ujawniła nam swej ideologii. Miał to dopiero załatwić „dokument” „Do czego dążymy...”. Dokument uchwalony nie na zjeździe, bo ten zajmował się utrwalaniem... właśnie, czego...? Co miał utrwalać, jeżeli po IX Zjeździe partia „wysła” bez ideologii. To trzeba widzieć w kategoriach politycznej moralności!

Partia, która utraciła zaufanie swej bazy społecznej przestaje być nie tylko partią, ale grupą polityczną. Jest to grupa, którą łączą liczne interesy, cementuje strach przed odpowiedzialnością i chęć dalszego okradania narodu z jego dorobku. „Odzyskać

zaufanie” mogła tylko nowa partia z jasnym programem i uczciwą ideologią. Taka partia na IX Zjeździe nie narodziła się!

IX Zjazd przedstawił PZPR jako jedyną siłę chroniącą naszą suwerenność i osłaniającą nas przed interwencją politycznego i militarnego sojusznika. PZPR przedstawiła siebie jako jedynego gwaranta naszych sojuszków.

Jedynym celem istnienia państwa nie może być tylko dotrzymanie sojuszków. Takim sojuszom może poddawać się Gibraltar, Malta, Singapur a celem istnienia tych państw może być gwarancja bezpieczeństwa zainstalowanych tam rakiet. Polska może i musi zawierać sojusze, które będą gwarantowały jej bezpieczeństwo. IX Zjazd udowodnił, że sojusze pezetpeerii i konieczność ich dotrzymania jest naszym największym zagrożeniem. To nie Argentyna, Syria czy Iran, z którymi mamy poprawne stosunki nam zagrażają. Zagrażają nam sojusznicy i to w sytuacji, w której my absolutnie nie mamy zamiaru ani możliwości ich atakowania.

Prawdziwe sojusze i autentyczna ich realizacja wymagają suwerennego przedstawicielstwa narodowego. „Naród suwerenem”! Trzeba sobie przypomnieć hasło rewolucji francuskiej, fundamentu politycznej cywilizacji obecnego świata.

Po IX Zjeździe kraj nie miał ani aparatu zdolnego pokierować zamierzającą produkcją, ani sztabowej grupy mogącej przeprowadzić reformę, ale przede wszystkim nie miał żadnej reprezentacji politycznej i politycznego przedstawicielstwa. IX Zjazd udowodnił, że w PZPR nie ma ludzi, którzy by widzieli, że doprowadzenie do końca dialogu z „Solidarnością” jest jedyną szansą partii ostania się w formie, w jakiej istnieje.

IX Zjazd partii udowodnił, że partia przestała być „kluczem” do sytuacji w kraju, w co do końca wierzył Bratkowski, Szumowski i paru ostatnich uczciwych i mądrych ludzi. Bratkowskiego partia odrzuciła jak niedopałek papierosa.

Różnica między partią a narodem jest taka, że naród może wybierać partię, w którą wierzy, a nie partia wybierać naród, który by w nią uwierzył.

„Solidarność” nie była partią, nie była związkiem zawodowym w europejskim pojęciu. Nie była też ruchem społecznym. „Solidarność” była nieznanym w historii ruchów społecznych Europy zorganizowanym zaufaniem narodowym. Jej istnienie zapewniało niezależność i suwerenność wszystkim działaniom zmierzającym do ratowania Polski. To nic, że na IX Zjeździe pezetpeeria potwierdziła swoją zdecydowaną wolę pozostania jedyną absolutną reprezentantką narodu. To nic,

że powoływała się na konstytucyjny obowiązek pozostania „kierowniczą rolą”. Sama tę konstytucję zafajdała wprowadzeniem kryminalistów do Sejmu. W partię już nikt w Polsce nie wierzył i nie miał najmniejszej chęci udzielenia jej votum zaufania. Nie wierzył jej także świat... ze Związkiem Sowieckim na czele.

Krótkie wypadki Jaruzelskiego do Paryża i Nowego Jorku potwierdzają, że świat odłożył rozmowy w sprawie długów do czasu, kiedy będzie z kim rozmawiać. Madejowi w Nowym Jorku udzielono pomocy paszowej dla ratowania pogłowia i drobiu, a nie PZPR. Gdyby Jaruzelski odczekał na przybycie ładunków paszy do Gdyni i dopiero potem dokonał zamachu stanu, uratowałby życie setkom tysięcy brojlerów, nie dopuścił do wybijania krów. Ale Jaruzelski inne sprawy miał przed oczami. On i jego ZOMO łaknęły krwi!

Tak, krwi!

W czasie kiedy w Europie panuje spokój, obowiązują jeszcze układy helsińskie, wydawanie ostrej amunicji żołnierzom jest prowokowaniem zbrodni ojco- i bratobójstwa. Żaden żołnierz, któremu wydano rozkaz strzelania do bezbronných ludzi nie może się zasłaniać dyscypliną wojskową. Żaden dowódca wydający takie rozkazy nie może się tłumaczyć suwerennym prawem zabijania bezbronných, NSDAP w Norymberdze odpowiadała za wszystkie zbrodnie dokonane między rokiem 1933 a 1939, mimo że Trzecia Rzesza była suwerennym państwem, a nawet przez pewien czas członkiem Ligi Narodów. NSDAP została uznana za organizację zbrodniczą, mimo to że Niemcy mordowali obywateli niemieckich.

„Solidarność” była zorganizowanym zaufaniem narodowym. Był to zorganizowany robotniczy entuzjazm ogarnięty wolą budowania sprawiedliwego porządku. „Solidarność” była organizacją klasy robotniczej. Taka organizacja nie mogła być bazą kontrrewolucji. Klasa robotnicza nigdy nie była, nie jest i NIE BĘDZIE bazą dla kontrrewolucji! Mógł się o tym przekonać Jaruzelski, któremu dla jego kontrrewolucyjnych poczynań klasa robotnicza nie udzieliła swego poparcia.

„Solidarność” wyzwoliła trzydziestoletnie marzenia narodu o wolności, nadzieje narodu i jego wolę budowania własnego, narodowego państwa. Tego też nie można nazwać kontrrewolucją.

Taka organizacja może błędzić, może chwilowo nie mieć właściwych przywódców, wolno jej szukać skutecznych form działania, ale nie wolno jej niszczyć. Pod groźą odebrania

narodowi nadziei. Tylko faszyzm w swoich najbardziej morderczych formach mógł podejmować takie próby i podejmował je. Podjął je Franco, Pinochet, i Jaruzelski. Tego uczy historia. Ci trzej ludzie, jedyni trzej ludzie w XX wieku zaatakowali zbrojnie naród. Mussolini i Hitler zaczęli od „zawieszania” organizacji robotniczych, delegalizowania robotniczych partii. Dziwię się dlaczego DiP odżegnuje się od porównań obecnej sytuacji z okupacją. Oczywiście Hitler nie wytrzymuje porównania. On nie wysyłał niemieckich czołgów pod niemieckie fabryki.

Teraz jedyną formą dialogu, jaki jest jeszcze możliwy jest dialog, jaki prowadzili Algierczycy z Francuzami w Evian. Francuzi też długo udowadniali światu, że Algier jest „departamentem Francji” więc mordowanie miejscowej ludności jest czysto wewnętrzną sprawą generała Salana i jego suwerennym prawem. Algierczycy wygrali wojnę z okupacją francuską. W Evian ustalali techniczną stronę likwidacji francuskiej okupacji.

To czeka Polaków. Nie chcemy być Algierią dla pezetpeerii.

Nasza obecna sytuacja na tle politycznych dążeń Europy przedstawia się tragicznie. Europa z całym sercem i zapałem przyłączyła się do Reaganowskiego programu technologicznej konfrontacji z obozem pokoju. Włącza w tę konfrontację cały swój potencjał i mobilność. Dowodzą tego wypadki falklandzkie. Sztab amerykański musiał przedstawić tak oczywiste dowody „nie w ł a ś c i w e j” realizacji postanowień helsińskich, że Europa nie miała już innego wyboru.

Nam się mówi o zagrożeniu imperialistycznym, przed którym musimy się bronić i Polska jest mocnym i nierozwalnym ogniwnem tej obrony. Przed jakim zagrożeniem mamy się bronić? Czy to my, Polacy, „wyzwalamy” Afganistan? Kraje Indochin? Abisynię? Angolę i Jemen Południowy? Czy to nasza flota wojenna jest obecna na Oceanie Indyjskim? Czy to my mieszałyśmy się do wewnętrznych spraw Czadu?

Celem prowadzenia wojny, jak twierdzi Clausewitz, jest albo zajęcie terytorium nieprzyjaciela, albo zmuszenie go do zawarcia i respektowania pokoju. Nikt na świecie nie zważywał by się pchać w zajmowanie terytorium ZSSR lub jakiejś jego części. Oświadczenie Dullesa w sprawie Węgier w 1956, w którym stwierdził, że jest to wewnętrzna sprawa sowieckiego bloku, dowodzi jak cyniczny potrafi być Zachód. Po wykłamaniu się ZSSR z Układów Helsińskich Europie zależy na nowym pokoju westfalskim, który potwierdzi bezpieczeństwo każdej doktryny czy religii politycznej, Europa nie będzie miała, za złe,

gdyby w przyszłości ZSSR rozwijał się w kierunku demokracji socjalistycznej. Europa taką właśnie formę demokracji wprowadza i utrwała u siebie. Na czele państwa może stać król, królowa, prezydent, może stać też przewodniczący rady najwyższej, ważne są nie symbole i nie deklaracje, ale warunki w jakich żyją szarzy ludzie.

We Francji, w Anglii każdy komunista może spać spokojnie i żaden żandarm nie obudzi go w nocy, by go wypytywać w jakiego boga politycznego wierzy. W naszym bloku nikt nie jest pewien swojego spokojnego snu.

Europie w żadnym wypadku nie zależy na zbytym osłabieniu, a już w żadnym wypadku na poniżeniu Rosjan czy innych narodów ZSSR. Nikt w Europie nie liczy na wywołanie narodowościowych nieporozumień, aczkolwiek mogą dojść do głosu emancypacyjne dążenia wśród narodów Związku Sowieckiego. Wielowiekowe nawyki współżycia w granicach jednego imperium, mimo wszystkich drastyczności, ewoluują w stronę powstania narodu, tak jak z konglomeratu narodowościowego narodził się naród amerykański. Naszym, na szczęście nielicznym aczkolwiek groźnym, politycznym romantykom chcę uświadomić, że narodowościowych konfliktów w łonie ZSSR nikt na świecie nie oczekuje, gdyż byłaby to wojna wszystkich ze wszystkimi. Nigdy nie wiadomo, co z takich wojen może wyniknąć, w każdym razie nic dobrego, pożytecznego dla świata. Laikom w dziedzinie techniki chcę uświadomić, że każda rywalizacja na polu militarnym przy dotkliwym obciążeniu stopy życiowej niesie jednak zdobycze, które w wersji pokojowej dają efekty o rozmiarach i zakresie trudnym do przewidzenia. *Vide* atom i silnik odrzutowy.

Obecny wyścig zbrojeń narzucony przez Zachód po osiągnięciu swoich celów zamieni się w intensywną współpracę gospodarczą, przede wszystkim na linii Europa - ZSSR. Doświadczenia historyczne Japonii uczą, że każde mocarstwo militarno-totalitarne może przestawić się na pokojową produkcję... i mentalność, i stać się nie mniejszym zagrożeniem niż było jako potęga wojskowa. Co ważniejsze, może nawet siebie polubić w nowej roli, tak jak wykazuje doświadczenie RFN. Nie po to Paryż ryzykuje całością swojego Wersalu, a Londyn Westminsteru, by nie wyciągać z tego korzyści.

Rosja w każdym przypadku będzie miała nad resztą Europy niesamowitą przewagę nawet w dobie szczerzej, pokojowej współpracy, swoje technologiczne niedociągnięcia wcześniej czy później może nadrobić. Japonia swego czasu więcej miała do nad-

robienia. Bogactw, jakie kryje ziemia sowiecka Europa się nie dokopie, choćby sięgnęła do jądra ziemi. Dlatego też Europie będzie zależało i zależy na tworzeniu pokojowych przeciwwag, ale nie izolacyjnych barier między własnym potencjałem i znaczeniem — nawet w sferze moralno-kulturowej — a potencjałem Rosji.

Europa zachodnia dąży do powstania takich struktur i układów politycznych, które by a m o r t y z o w a ły zainteresowanie Rosji Europą zachodnią. Zachód w żadnym wypadku nie będzie tolerował w tych strukturach ciał zapalnych utrudniających współpracę euro-rosyjską. Jeżeli nie chcemy być chorym człowiekiem Europy, musi dotrzeć wreszcie do naszej świadomości, że to cała Europa dąży do wymiany handlowej z Rosją. Kto się będzie z tych dążeń wyłamywał zostanie przez Europę porzucony.

Dlatego też w całej Europie s a m o i s t n e powstanie bloków, które nie drażniąc Rosji będą mogły współpracować z Zachodem, zostanie powitane z entuzjazmem.

To nieprawda, że w bloku tym muszą być „rządy komunistyczne”. To doradcy sowieccy Nasera — kiedy ten powoływał ZRA (ostatni okrucich tego bloku, Jemen Południowy, uczestniczy w Pakcie Warszawskim) — zwrócili mu uwagę, że zbyt intensywne karmienie krokodyli egipskich komunistami grozi wyginieniem tych pożytecznych gadów. Naser przychylił się do rad sowieckich ekspertów i dziś nie ma komunistów w Egipcie a krokodyle przeżyły. Przeżyły Nasera, przeżyły jego doradców. Nie ręcę ile w tej plotce jest prawdy, ale szkoda że nie mamy w Wiśle krokodyli, za to mamy nad Wisłą wielu naiwnych i niemądrych ekspertów. Naser, krokodyle i ta anegdota dowodzą, że aby być przyjacielem Rosji niekoniecznie musi się być komunistą. Czasami wręcz przeciwnie.

Powstanie takiego bloku, nawet z komunistami, choć bez krokodyli, Europa zachodnia będzie popierała całą swoją mocą, a jednocześnie wymuszała poszanowanie autonomii dla jego „sfery interesów”. Rozwój EWG jest praktyczną szkołą działania takich bloków. Wspólne interesy w ramach NATO, absolutna suwerenność z sprawach gospodarczych i politycznych. Udział komunistów w rządzie Mitterranda z jednej strony, sztabowców francuskich w planowaniu nuklearnym z drugiej dowodzi że pokój westfalski w tamtej strefie już istnieje.

Taka strefa interesów zarysowuje się między państwami dunajskimi a... Karpatami.

To nie jest pomyłka autora. Współpraca państw dunajskich

dociera do Karpat, ale ich nie przekracza. Dla Europy fundamentem powstania takiego bloku państw jest ich zdolność wyłaniania ciał przedstawicielskich i ich zdolność bronięcia swej suwerenności. Wszystko wskazuje, że Zachód obdarza już wystarczającym zaufaniem Rumunię, Jugosławię, Węgry i dlatego przyjął je do Międzynarodowego Funduszu Monetarnego. Te trzy państwa są wystarczającą siłą nacisku, by przywabić Bułgarię i Czechosłowację. Własna, twarda waluta jest rozkosznym wabikiem... nawet dla żołnierzy uczestniczących w manewrach Paktu Warszawskiego.

Mała Ententa... bez udziału Polski ma swoją tradycję.

Nieraz błagałem swoich kolegów, aby zrodzone z mitów emocje konsultowali z mapą Europy. Aby upojeni wielkością i znaczeniem Polski konfrontowali to z jej położeniem. To jest szczęśliwe położenie. Holendrzy, Szwajcarzy, Lombardowie, gdyby zamieszkiwali dorzecze Wisły już dawno wylansowaliby Warszawę jako siedzibę ONZ.

Rurociąg Syberia-Europa będzie Kanałem Sueskim XXI wieku. Kto będzie do tego rurociągu „podłączony” będzie stanowił godną zaufania rodzinę. Europa czekała przez piętnaście miesięcy na kogoś z Polski z kim będzie mogła mówić o wspólnych dla całej Europy sprawach. O naszej i europejskiej przyszłości. Wyniki *tournée* Wałęsy do Włoch, Francji i Szwajcarii, mimo gazetowego entuzjazmu, jaki towarzyszył jego występowi, świadczyły, że ani jego, ani „Solidarności” w tym kształcie Europa nie uznaje jako gwarancji politycznej. Europa czekała aż Polacy, najpoważniejszy partner między Morzem Czarnym a... Bałtykiem wykażą zdolność i chęć wyłonienia takiej reprezentacji. Tu chodzi o federację ojczyzn a nie grup rządzących.

Na razie Europa zgodziła się, by ten rurociąg ominął Polskę, pozostawiając nasze terytorium jako przedłużenie „bramy Smoleńskiej” na Europę. Bramą Smoleńską mogą przejeżdżać kontenery, autobusy, ekspresy i czołgi. Rosjanie i cała zachodnia Europa zgodzili się na poniesienie dodatkowych i tak już niewielkich kosztów, dodatkowych trudności technicznych przy eksploatacji rurociągu, bo będzie on przez to dłuższy o parę tysięcy kilometrów, aby tylko ominąć Polskę. W oczach Europy, tak tej wschodniej jak i zachodniej, tak tej nam najbliższej, jak i tej za Pirenejami, jesteśmy w dalszym ciągu nie tylko chorym, nie tylko głupim, ale nieodpowiedzialnym człowiekiem tego kontynentu.

Nasza katastrofa nie ma sobie równej w dziejach ludzkości. Praca trzydziestopięciomilionowego narodu, cały jego wysiłek i

dorobek obrócił się przeciwko niemu. Trzydzieści pięć milionów ludzi zamieszkujących kraj żyzny, który wygrał szczęśliwy los na loterii historii, posiadający w przeliczeniu na mieszkańca najbogatsze złoża surowców w Europie, bez wojen wewnętrznych i zewnętrznych, bez dżumy, trzęsień ziemi, tajfunów, popełnia samobójstwo. Tak, to jest dorobek pezetpeerii i nikt go nie może negocjować. Dzięki naszej potulności, dzięki naszej lekkomyślności, że bez oporów oddawaliśmy władzę i nasz los w nieodpowiedzialne ręce zostaliśmy nie tylko chorym, głupim i nieodpowiedzialnym człowiekiem Europy. Zostaliśmy w tej Europie człowiekiem głodnym, obdartym, proszącym o litość, niedomymym żebrakiem. Czy mamy czekać na jakieś plenum, które nam wreszcie łaskawie zezwoli byśmy mogli wziąć nasz polski los w nasze polskie ręce? Straciliśmy dorobek całego pokolenia. Wszystko obróciło się przeciw nam. Czy to niemały cios, by otrząsnąć się z marazmu, ze strachu? Nie historii musimy spojrzeć w oczy, a naszym dzieciom, którym zostawiamy zrujnowany kraj i obowiązek jego odbudowy w sytuacji tak ciężkiej, w jakiej żadne młode pokolenie Polaków nie odbierało ojczyzny z rąk swoich ojców. Na to czeka cała Europa.

Warszawa, czerwiec-lipiec 1982

POSŁOWIE

Jest to pierwsza część pracy pod tytułem „Polacy, uwaga!”. Następne, jeżeli dane mi będzie je dokończyć, będą zatytułowane „Polska a dwa mocarstwa”, „Polska a Polacy” i „Co nas czeka?”. Pracę nad tą książką miałem zamiar podjąć jesienią. Uważam jednak, że muszę ją przyspieszyć. Stąd pośpiech i chaotyczność. Stąd w niej wiele braków i luk.

Pisałem językiem potocznym. Kogo nienawidzę, to nienawidzę i kim pogardzam, to pogardzam i dałem temu wyraz właściwymi słowami. Nie używałem terminów „pierwszy sekretarz”, „przewodniczący Rady Najwyższej” bo z zasady nie lubię

tytułomani. Wszystkich nazywałem tak, jak ich określiśmy w normalnych rozmowach między sobą.

Bolało mnie gdy przez tyle lat moi koledzy, współpracownicy w redakcjach wyśmiewali i wyśmiewają się ze mnie, że nie dostrzegli, iż walczę cały czas, bez chwili wytchnienia i nie rezygnuję z tej walki. W tej walce nie opuściły mnie ani żona, ani dzieci, jak innych etatowych obrońców partyjnego socjalizmu. Rakowskiemu chcę przypomnieć, że ja i moja żona jesteśmy dobrze wyszkolonymi żołnierzami Gwardii Ludowej. Może o tym poczytać sobie w każdej historii GL i AL. Niech o tym pamięta jak wysłał do naszego domu siepaczy, tak jak ich wysłał na salę posiedzeń WRN w Bydgoszczy, pod kopalnię Wujek, pod Stocznię Gdańską. Jako szesnastoletni bojowcy włożyliśmy broń za pas, by walczyć o socjalizm. Jedno i drugie można nam wydrzeć wraz z życiem.

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 29 OCTOBRE 1982
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 4^e trim. 1982.

